Nr. 251. Lwów — Piątek dnia 4 Listopada. Rok 189[illegible]

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . . . 3 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: św. Karola Bor. | Jakowa
Jutro: św. Emeryka | Aryfty N.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 6 m. 58
Zachód „ „ 4 „ 29

Długość dnia g. 9 m. 31
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 3 listopada.

Anglia się zbroi. Czyni to nietylko w Europie, ale i w swych azyatyckich koloniach. Eskadra, stojąca w Szangayu, otrzymała rozkaz odpłynąć niezwłocznie do Hongkongu i by się tam zaopatrzyć w amunicye i węgiel na kilka tygodni. W kanadyjskim Halifaxie, Vancouverze i Esquimault uzbrajają się dywizye lekkich krzyżowników, którym polecono najpóźniej za dni siedm wypłynąć na ocean i na nim dopiero odczytać szyfrowane depesze. Ze wszystkich portów Anglii, Szkocyi i Irlandyi przybyły do Plymouthu pancerniki i transportowce. Tak naraz zgromadziło się w tym porcie ogromnie dużo wojennych okrętów, jakby główny obóz floty bojowej. Inną flotę, specyalnie przeznaczoną do obrony wybrzeży, również zaczęto mobilizować. W Gibraltarze przystąpiono do robót, mających na celu zamknięcie cieśniny w chwili, gdy taki rozkaz nadejdzie z Londynu. Słowem, Anglia mobilizuje całą swą morską potęgę, a stało się to na mocy czwartkowej uchwały gabinetu, o której nic więcej nie wiadomo.

Po co ta mobilizacya? — jest tedy zagadką. Niepodobna łączyć jej ze sprawą o Faszodę, bo chociaż ona nie jest jeszcze zupełnie załatwioną, ale się znajduje na drodze ku pokojowemu rozwiązaniu. Bismark mawiał, że kiedy o jakiejś kwestyi mocarstwa zaczynają ogłaszać swe zielone, błękitne, żółte i tak dalej księgi, można być pewnym, że ta kwestya już przestała być groźną. To spostrzeżenie jest niezawodnie trafne, bo spraw zaostrzonych, grożących katastrofą, dyplomacya nigdy nie wydaje na łup jątrzącej dziennikarskiej kampanii. Otóż w sprawie o Faszodę zarówno rząd paryski jak londyński już ogłosiły zbiory aktów dyplomatycznych, pokazały światu to zebrane żniwo, które bynajmniej nie świadczy o wojowniczych zachciankach Francyi. Minister spraw zagranicznych Delcassé nazwał komendora Marchanda „emisaryuszem cywilizacyi“, dając przez to odrazu do zrozumienia, że wyprawy tego komendora nie uważa za ruch wojenny, skierowany przeciw Anglii. Jakoż w tym kierunku prowadziła Francya rokowania, nalegając tylko na zapewnienie jej wolnej żeglugi po Nilu i jego dopływach w dolinie Bar-el Ghazal. Ostatecznie poleciła Marchandowi wycofać się z Faszody, do której wyruszyła już piechota anglo-egipska. To wszystko wskazuje, że ta sprawa należy już do załatwionych dyplomatycznie, a pomimo tego Anglia zaczęła się zbroić w sposób wybitnie demonstracyjny. Dodać tu musimy, jako przypomnienie, że w ostatnich czasach angielski minister Hicks Beach, oraz dwaj wodzowie opozycyi: lord Rosebery i Asquith w publicznych przemówieniach komuś niezawodnie grozili angielską potęgą, skutkami wyczerpania się cierpliwości brytańskiej, zapewnieniem w imieniu całego narodu, że Brytania nikomu nie pozwoli wchodzić sobie w drogę. Wkrótce po tych groźbach słownych zaczęło się grożenie za pomocą mobilizacyi całej floty.

Niektóre dzienniki, zwłaszcza niemieckie, przypuszczają, że ta mobilizacya jest tylko demonstracyą, może trochę skierowaną pod adresem Francyi i jej sojuszniczki Rosyi, głównie jednak pod adresem własnego narodu, który trzeba było uspokoić pokazaniem gotowości do wojny o prawa brytańskie. Naród był oburzony tem, że w chwili, gdy po olbrzymich wysiłkach rozbito państwo derwiszów, zjawiła się Francya na angielskiej drodze, a gabinet Salisburyego zamiast odrazu rzucić ultimatum, wdał się w rokowania i w targi, przyrzekając ustępstwa. Naród widział w tem dowód ślamazarności gabinetu, więc aby go uspokoić, zrobiono tę demonstracyę mobilizacyjną. To tłómaczenie niemieckie byłoby może trafne, gdyby szło o każdy inny naród, a nie o angielski, który nie potrzebuje aż takich kosztownych fajerwerków dla przekonania się o energii rządu.

Jest jeszcze inne przypuszczenie. Kursuje po Londynie pogłoska, że dyplomacya rosyjska przypomniała gabinetowi Salisburyego obowiązek ustąpienia z Egiptu. Obowiązek ten opiera się na przyrzeczeniu, danem w r. 1882 przez gabinet Gladstona, że skoro stosunki egipskie będą uporządkowane i Europejczykom w tym kraju nic nie będzie groziło, natenczas Anglia zakończy swą akcyę okupacyjną. Otóż teraz, odbywając podróż po Europie, zdołał hr. Murawjew przekonać gabinet paryski o tem, że można Anglii przypomnieć jej własne przyrzeczenie, a ponieważ gabinet berliński uznał w zasadzie, że wdrożenie tej akcyi jest usprawiedliwione, przeto odpowiednie oświadczenie złożyli w Londynie ambasadorowie Rosyi i Francyi. Jako odpowiedź na to nastąpiły przygotowania mobilizacyjne.

Notujemy tę pogłoskę jako bardzo rozpowszechnioną. Francya zdawna używa sprawy egipskiej jako karty, z której może zagrać przeciw Anglii. Nigdy jednak na seryo nie poruszała tej kwestyi raz dlatego, że jest ona w pewnym związku z zaokupowaniem przez Francyę Tunisu, a powtóre — że kupcy i przemysłowcy francuscy, mający interesa w Egipcie, bardzo są radzi z okupacyi angielskiej. Ale dla przypodobania się Rosyi czegoś nie zrobi rząd paryski, który w sprawach międzynarodowych wygląda tylko na filię petersburskiego! A dla Rosyi jest w każdym razie pożytecznem wprawić Anglię w kłopot, odwrócić jej oczy od Chin.

Tyle na razie można powiedzieć o powodach mobilizacyi angielskiej. Są one bądź co bądź zagadkowe. Jednak wprost niepodobna przypuszczać, żeby się zanosiło na wojnę, bo ona kosztowałaby więcej, niżby dać mogła.

Kandydatura księcia Jerzego greckiego na urząd jeneralnego gubernatora Krety znowu się pojawiła na politycznej arenie, a tym razem sułtan już podobno nie protestuje, co przypisują osobistemu wpływowi cesarza Wilhelma. Zapewniają, że sprawę tę poruszył hr. Murawjew w Wiedniu, jako kwestyę obchodzącą blisko cesarza rosyjskiego, który dał dynastyi greckiej odpowiednie przyrzeczenie. Zapewniają dalej, że dyplomacya austro-węgierska oświadczyła, iż wszystko zależy od sułtana: jeżeli on się zgodzi na tę kandydaturę, to ona będzie przyjęta. Otóż, jak donoszą z Konstantynopola, sułtan się zgadza, lecz przy tej sposobności chce coś wytargować, mianowicie żąda wyraźnych znaków swego zwierzchnictwa nad Kretą, a więc: określenia rocznego haraczu, zatrzymania na wyspie bodaj małej załogi tureckiej, zachowania flagi tureckiej w portach i na budynkach rządowych, mianowania jeneralnego gubernatora i gubernatorów prowincyonalnych zawsze w porozumieniu z Portą itd. Zapewne te żądania będą po targach częściowo przyjęte i wtedy sprawa kreteńska zejdzie z porządku dziennego.

Morowa zaraza — dżuma indyjska, czy jaka inna — tego jeszcze nie zbadali lekarze — wybuchła w rosyjskich posiadłościach w Azyi Środkowej. Dotknięta zarazą miejscowość nazywa się „kiszłakiem“ (okręgiem) Anzowskim, odległym o 200 kilometrów na wschód od stolicy kraju Samarkandu. Ów „kiszłak“ graniczy z Bucharą, będącą w wassalnym stosunku do Rosyi, a więc między nią a Anzowem nie ma stale strzeżonej granicy. Między Bucharą zaś a emiratem afgańskim, za którym już znajdują się Indye, nigdy nie było takich urządzeń granicznych, jakie istnieją w Europie. Nie dziwno tedy, że dżuma, panująca już trzeci rok w Indyach, w końcu się przedostała do Afganistanu, z niego do Buchary, a teraz wkroczyła na rosyjskie ziemie. Od tej chwili stała się ona niebezpieczna i dla europejskiej Rosyi, ponieważ między nią a turkiestańskiem jeneralnem gubernatorstwem istnieje stały i dość ożywiony ruch handlowy i przejazd podróżnych koleją, utykającą o morze Kaspijskie. Do Anzowa wysłano lekarzy, którzy w Indyach studyowali dżumę. Orzekli oni, że zaraza anzowska różni się objawami od indyjskiej dżumy i jest od niej złośliwsza. Ludzie mrą jak muchy po bardzo krótkich, lecz strasznych cierpieniach. Choroba trwa zwykle kilka godzin, a że podczas niej skóra zarażonego staje się podobna barwą do ziemi, przeto lud nazywa tę zarazę „czarną“. Walczyć z epidemią trudno, bo Anzów jest krajem górzystym, bezdrożnym, a przytem muzułmański lud tamtejszy nie wpuszcza do swych domów ludzi innej wiary, a już zgoła zamyka przed nimi pokoje swych kobiet. Wczorajszy telegram z Petersburga doniósł, że rząd wysłał stamtąd trzydziestu lekarzy i dziesięć lekarek do Samarkandu. Dziś rosyjskie dzienniki przyniosły wiadomość, że cesarz Mikołaj polecił swemu krewnemu księciu Oldenburskiemu udać się do Samarkandu z oddziałem Czerwonego Krzyża i stanąć na czele akcyi sanitarnej. Kiszłak anzowski szczelnie otoczono kordonem kozackim. Chodzi więc widocznie o zamknięcie zarazy w nawiedzionym przez nią kraju. Dzienniki rosyjskie wzywają ludność do przedsięwzięcia środków ostrożności i do unikania paniki.

Układy. — Pronunciamento dr. Grabmayera. — Odznaczenie.

Piszą nam z Wiednia, 2 listopada:

Dotychczas układy pomiędzy rządem a klubem młodoczeskim nie dopięły celu. Aczkolwiek pierwotna liczba postulatów młodoczeskich z 32 została zredukowana do 26, to przecież znajdują się pomiędzy niemi takie, które nie mogą być spełnione nagle, a nadto rząd widocznie obstaje przy warunku, że głosowanie nad ugodą z Węgrami powinno wyprzedzić spełnienie postulatów.

Wskutek ewolucyi, wielkich właścicieli wiernokonstytucyjnych tudzież grawitujących około nich klubów Mauthnera i włoskiego, pozycya gabinetu wobec natarczywości postulatowej niewątpliwie wzmocniła się. Te trzy frakcye lewicy mogą dostarczyć tyle głosów, co klub młodoczeski, a zatem równoważyć go w arytmetyce parlamentarnej, gdyby w klubie młodoczeskim uzyskał przewagę prąd radykalno-postulatowy. W organizacyi stronnictwa młodoczeskiego posłowie do Rady państwa i do Sejmu tworzą całość. Ważne decyzye zależą od wspólnej uchwały wszystkich posłów obu kategoryi. W pierwszej wpływ dr. Kaizla i jego bliższych przyjaciół posiada przewagę. Natomiast posłowie sejmowi tworzą zastęp radykalniejszy, niecierpliwy, nieobeznany dokładnie z trudnościami realnemi w Wiedniu, oszołomiony szumnymi frazesami, zwłaszcza dziennikarskimi, a nadto od dawna wdrożony w wstręt do odnowienia ugody z Węgrami. Minister Kaizl przedwczoraj ponownie wyjechał do Pragi, prawdopodobnie w tym celu, aby udobruchać ten radykalniejszy zastęp posłów młodoczeskich, którzy swe mandaty zawdzięczają namiętnej walce, podjętej mianowicie przeciwko teoryi dr. Riegera o „zbieraniu okruszyn pod stołem“, którym zatem nie łatwo oswoić się z nową taktyką „etapową“, będącą w gruncie rzeczy dalszym ciągiem owej tak namiętnie potępianej dawnej taktyki „okruszyn“.

Słowem, w obozie młodoczeskim piętrzą się trudności. Z drugiej strony nie wolno zapominać, że hr. Taaffe w ciągu 11 lat wyczerpał zasób koncesyi, któremi mógł jednać sobie w Radzie państwa głosy czeskie bez wywoływania rozpaczliwego i solidarnego oporu Niemców. Zamienić stanowczą i solidarną opozycyę Czechów na równie solidarną opozycyę Niemców austryackich, to nie sztuka. Ale w interesie państwa taka zamiana byłaby ewolucyą zgubną. Hr. Thun wie to doskonale. To dostatecznie tłómaczy ociąganie się rządu w spełnieniu „postulatów“, o których zresztą przywódcy młodoczescy ciągle głośno zapewniają, jak świeżo dr. Pacak, że to tylko „zakuski“, po których przyjdą na stół dalsze potrawy postulatowe.

Dziwnie przytem wygląda solidarność większości parlamentarnej. Gdyby ona rzeczywiście istniała, musiałaby przedewszystkiem ustanowić i ściśle określić wszystkie żądania swoich organicznych części, zaprezentować je rządowi za pośrednictwem swej komisyi parlamentarnej. Tymczasem, komisya ta w krytycznych chwilach, jak teraźniejsza, całkiem znika z widowni, a rząd widzi się zmuszonym traktować z każdą frakcyą z osobna. Hr. Taaffe w ostatnich latach swych rządów stawiał zawsze warunek, że będzie przyjmować dezyderata prawicy jedynie za pośrednictwem jej wspólnej parlamentarnej komisyi, która tym sposobem stawała się sitem, a zarazem asekuracyą od... ognia dezyderatów specyalnych. Gmach ten sztuczny wprawdzie, ale jednak możliwy, obalił właśnie ruch młodoczeski, strącając z widowni klub staroczeski i stając pod hasłem „fara de se“. Organizacya nowej prawicy autonomicznej na podstawie adresu hr. Dzieduszyckiego miała przywrócić dawniejszy stan rzeczy. Widzimy jednak teraz, że to nie udało się wcale, bo klub młodoczeski postępuje zupełnie samodzielnie, domaga się wprawdzie od innych stronnictw większości bezwzględnego poparcia, ale układa się bezpośrednio z rządem, nie poddając swych specyalnych żądań pod ich rozpoznanie.

Ewolucyę wielkich właścicieli wiernokonstytucyjnych świeżo na zebraniu w Morawie objaśniał jeden z wybitniejszych posłów tego grona, Tyrolczyk dr. Grabmayer. Domaga on się „zniesienia rozporządzeń językowych, utrzymania jedności państwa, zachowania niemieckiego stanu posiadania na wszystkich polach publicznego życia, odzyskania historycznego, kulturalnego i ekonomicznego znaczenia i odpowiedniego wpływu Niemców na kierownictwo państwowe“. P. Grabmayer sięga zbyt daleko, a „qui trop embrasse, mal etreint“ (kto dużo obejmuje, mało ściska). Nadto, co do odnowienia ugody z Węgrami, stawia warunki przesadne, skoro nawet sprzeciwia się całkiem słusznym przepisom projektów ugodowych co do parytetyczności banku austryacko-węgierskiego. Gdyby istotnie p. Grabmayer był wygłosił definitywny program swego klubu, szanse parlamentarnego odnowienia ugody spadłyby bardzo nisko. Jednakże są ważne powody, aby osobistych wynurzeń p. Grabmayera nie uważać jako ostateczny program klubu wiernokonstytucyjnych wielkich właścicieli.

Odznaczenie drów Poecha i Mayera, matki i przełożonej i czterech Sióstr miłosierdzia, pomiędzy któremi, sądząc z nazwiska, znajduje się Polka, siostra Janikowska, tudzież dozorczyni wdowy Hocheggerowej, wywołało tu we wszystkich kołach najwyższe zadowolenie i wdzięczność dla Cesarza, który tak głośno uznał i wynagrodził zasługę i odwagę cywilną tych osób. Pierwsze medale srebrne utworzonego z powodu tragicznej śmierci cesarzowej Elżbiety orderu nie mogły być rozdane w sposób godniejszy.

Lwów w r. 1848.

Pod tym tytułem miał wczoraj dr. Ostaszewski-Barański, znany badacz przeszłości Polski z doby ostatniej, odczyt w ratuszu, w którym to odczycie opisał udział Lwowa w ruchu rewolucyjnym w r. 1848.

Prelegent przypomniał najprzód, jak po czasach wielkiej rewolucyi francuskiej i panowania Napoleona nastał czas tzw. restauracyi świętego przymierza trzech mocarstw, pod zas którego przywrócono spokój w Europie, lecz był to spokój grobu. Od czasu do czasu zrywały się ludy, atoli rewolucya lipcowa przyniosła Francyi tylko jeszcze gorszą monarchię, nasze powstanie z r. 1831 zatopiono w morzu krwi, a w r. 1846 lud polski rzucił się na swoich naturalnych przywódców, niosących mu ideę wolności. Jednak wolnościowe pojęcia domagały się dalej swoich praw, a pierwsze hasło do nowej gorączki swobody wyszło z Rzymu, gdzie zacny kapłan a mądry polityk, papież Pius IX nadał rozporządzenia konstytucyjne. Współczesna rycina przedstawia go siedzącego z księgą pt. „Lux et libertas“ w jednej ręce, a drugą rzucającego zapałki eksplodujące pod stopy książąt i królów. Metternich gasi je, a Ludwik Filip skrupulatnie między niemi tańczy, aby żadnej nie nadeptać. Jedną z tych zapałek nadeptał nie on, lecz jego minister Guizot, wskutek czego wybuchła rewolucya francuska z r. 1848, która obaliła tron Ludwika Filipa. Echo rewolucyi odbiło się wnet w Kolonii, w Monachium, a 13 marca w Wiedniu, gdzie lud zmusił cesarza do usunięcia Metternicha i nadania swobód. W Berlinie wojsko stłumiło ruch rewolucyjny, ale król sam ustąpił i spełnił żądania ludu; tak samo było we Włoszech. Tylko północ milczała groźnie, a car Mikołaj mówił: „Z nami Bóg, narody pamiętajcie o tem i strzeżcie się“. Lecz Bóg cara Mikołaja był bogiem absolutyzmu. Carat dlatego tak nienawidził dążności konstytucyjnych, bo wszędzie, gdzie zrywano kajdany, tam powstawało widmo Polski w całej swej pięknej szacie. Wreszcie przyszła chwila, kiedy hufce Paszkiewicza przekroczyły granicę węgierską i wziąwszy udział w bitwie pod Vilagos, spełniły w części przepowiednię Napoleona, że Europa będzie albo republikańską albo kozacką.

Podczas tej burzy z roku 1848, która bądź co bądź orzeźwiła przynajmniej powietrze, Lwów zaznaczył się również pięknymi głoskami w historyi i w tej chwili stał się faktycznie dla kraju stolicą, w której zaczęła się skupiać wszelka myśl polityczna. O rewolucyi wiedeńskiej dowiedziano się we Lwowie 18 marca. Ludzie doświadczeni w szkole spisku postanowili wystąpić w obec cesarza odrazu z konkretnemi żądaniami. W mieszkaniu Franciszka Smolki zbierała się gromadka energicznych, przejętych duchem wolności ludzi, których głową i ręką byli Smolka i Ziemiałkowski, wykonawcą zaś piórem Jan Dobrzański. Ułożono tam adres do cesarza, a trzeba dodać, że wówczas tylko Galicya i Węgry zdobyły się na jasno określone postulaty, podczas gdy np. Wiedeń do 26 kwietnia nad nimi się namyślał. Otóż żądano zabezpieczenia praw narodowych, oddzielnej administracyi, sejmu, zniesienia cenzury i poddaństwa, zaprowadzenia gwardyi narodowej, amnestyi dla więźniów politycznych, reformy sądownictwa itd. Dnia 19 marca, w piękny pogodny dzień zebrało się owe grono w domu krawca Tomasza Kulczyckiego. Kulczycki była to jedna z najsympatyczniejszych postaci we Lwowie z pierwszej połowy 19 wieku, a przypominał swoim patryotyzmem Kilińskiego. Uzyskał on był koncesyę na wydawanie jedynego podówczas pisma w Galicyi *Tygodnika mód*, w którem pojawiały się także artykuły literackie i naukowe. W ten sposób wykształcił u siebie całe pokolenie piszących, gdyż w jego redakcyi pracowali ludzie, jak Bielowski, Szajnocha, Pol, Dzierzkowski i Dobrzański. Dom jego jako najpopularniejszy we Lwowie wybrano na podpisanie tego aktu, który miał zadecydować o przyszłości kraju. Lud zebrał się tłumnie, podpisywano adres tysiącami. Była to chwila wielkiej radości i harmonii wszystkich stanów. Rząd zaniepokojony uciekał się do półśrodków i tak np. usiłował wywołać wielki alarm przez rzekomy pożar na tzw. murowanym moście, wskutek czego jednak tylko część publiczności dała się odciągnąć. Wojsko w obawie rozruchów zajęło w mieście

DOBRE ZIARNO.

POWIEŚĆ

przez

ALCES.

(Ciąg dalszy).

Witold mówił dotąd nie patrząc na nią wcale; nie doczekawszy się odpowiedzi, której się nie spodziewał i nie żądał może, a której mu przecież brakło, spojrzał na nią i po raz pierwszy, odkąd ją znał, przyjrzał jej się uważnie.

— Czy pani wie, że od czasu, gdy miałem zaszczyt być pani przedstawionym, rozmawiam z nią po raz pierwszy?

— A może i ostatni. Kiedy pan wyjeżdża — dodała, chcąc złagodzić pewną szorstkość tonu.

— Szkoda.

— Wątpię. Zdaje mi się, że trudno byłoby nam się porozumieć.

— Dlaczego?

— Bo pan — rzekła, patrząc mu bystro w oczy — musi mieć dużo zawiści w charakterze, a ja jej nie mam wcale, może i dużo okrucieństwa, a ani trochę, ani odrobinę litości. — W głosie jej coś wibrowało, czem się uczuł nagle tak poruszony, że oczy spuścił, by nie widziała, że mu łzami zaszły.

— Litości! — powtórzył — litości! Może jej także nademną nie miano, może cierpię... cierpiałem — poprawił żywo — tak bardzo, że...

— Zapomniałeś pan spytać siebie, czy koło ciebie ktoś bardziej nie cierpiał jeszcze... Teraz patrzyli sobie prosto w oczy i gdy spojrzenie Witolda mówiło: Ty wiesz — oczy Izy temu nie przeczyły swem pełnem wyrzutu wyrazem. Po sekundzie takiego niemego porozumienia, Witold nachylił się lekko ku pani Ilnickiej i głosem, w którym przebijała się pewna miękkość i tkliwość, rzekł:

— Jeżeli pani kiedy, na drodze swojego życia spotka istotę, która bardziej odemnie cierpiała, powiedz jej pani w mojem imieniu, że miarą miłości, jaką się odczuwało, jest często cierpienie, które się zadaje — a głośniej, tonem swobodnego światowca — żegnam panią — dodał, głęboko się przed nią pochylając.

W koło nich brzmiały wesołe tony rozkosznego walca.

Po odejściu Witolda, który nie czekając na jej odpowiedź, spiesznym oddalił się krokiem, pani Ilnicka, spragniona za chwilą samotności, wysunęła się z sali balowej, a znając rozkład apartamentów Trockich, skierowała swoje kroki w stronę małego saloniku, w którym teraz, kiedy jedna część towarzystwa była przy kolacyi, a druga w sali balowej tańczyła, prawdopodobnie nikogo nie zastanie.

I rzeczywiście, salonik był pusty a gwar nocy balowej dochodził doń tylko dyskretnymi tony. Chodziła ze spuszczoną głową po pokoju, pod wrażeniem jakie na niej zrobiło poznanie i spotkanie Witolda.

Powtarzając sobie jego ostatnie słowa, więcej do Laury niż do niej powiedziane pytała siebie czy one dla niej będą pociechą czy też tylko jedną goryczą więcej?

Biedna Laura! szepnęła i z głębokiem westchnieniem usiadła na niskiej otomance, stojącej pod rozłożystą palmą. W pokoju było cicho i chłodno, oświecały go olbrzymie świeczniki przysłonięte wzorzystą gazą, muzyka dochodziła doń tylko jakąś pieszczotą tonów, a Iza czuła się smutną i przygnębioną. Pełnym znużenia ruchem złożyła główkę na poduszkach otomany i w tej na wpół leżącej postawie przymknęła oczy. Myśl jej odbiegła tak daleko od miejsca, w którem jej osoba przebywała, iż sama sobie z tej odległości sprawy nie zdawała. Nigdy też nie zdał sobie z tego sprawy mężczyzna oparty od dłuższego już czasu o drzwi saloniku, który jakiemś zachwyconem czy zdziwionem wejrzeniem jej wiotką, nieruchomą postać obejmywał. Na klasycznie pięknych kształtach cudnie się drapowały miękkie i długie fałdy różowej aksamitnej sukni zakończonej u wycięcia szeroką brylantową wstążką. Łabędzią szyję okalało kilka sznurów olbrzymich pereł od których spadał na marmurowy gors i ramiona istny deszcz brylantów. Podobny dyadem zdobił jej ciemne włosy. — Ale nie tym blaskiem zimnych kamieni zachwycały się oczy patrzącego, jeno idealną pięknością kobiety, której szukając, doszedł aż tutaj a nie spodziewał się może, tak idealnie pięknej znaleźć. Mimo stroju, klejnotów, odnalazł w tej damie wielkiego świata dziewczynkę widywaną przed laty a na jej twarzyczce tak poważnej w swem uśpieniu czy zadumie ten sam cichy, nie dający się słowami określić wyraz czystej, dziecięcej niemal duszy. Pamięcią przebiegł różne fazy życia w jakich ją spotykał i przypomniał sobie, że kiedyś — dawno — myśli jego czy serce ściśle z nią złączone były... dawno temu, zapewne kiedy mógł jeszcze marzyć, a ona jakieś niejasne a tak jednak trwałe marzenie w sercu jego wzbudziła, że jeszcze o niem pamięta... Tak ; już dawno to było, a dzisiaj jej widok znowu to marzenie wzbudził!

Głośniejszy akord muzyki silniejszym odgłosem przedarł się do pokoju i zadumana Iza rozchyliła powieki. Spostrzegłszy że ktoś stoi w drzwiach podniosła głowę i spojrzała na niego. Widocznie w pierwszej chwili nie dowierzała własnym oczom, bo nachyliła się patrząc uważniej, na nieruchomie stojącą męską postać i nagle zerwała się z miejsca, cała rozpromieniona i krzyknęła:

— Pan Seweryn!

Ten głos tak szczerze radosny, taki słodki, młody i świeży zapukał od razu do serca Seweryna siłą dawnych wspomnień.

Podnosząc do ust rączki, które w jego dłoniach spoczęły, rzekł:

— Widocznie, mój instynkt był pewniejszym, od wiadomości Mro, która mnie zapewniała że pani tu dziś nie będzie.

— Bo rzeczywiście być nie miałam.

— Ale kiedy pan przyjechał? skąd? na jak długo? — pytała z uśmiechem okraszającym jej usta z szczerego uradowania.

— Kiedy? przed paru godzinami. — Skąd? Z Japonii. — Na jak długo? Na wieki może.

— Pan pamięta? — rzekła śmiejąc się — na wspomnienie, że dawnymi czasy w ten sposób zwykł zawsze odpowiadać na mnogość jej pytań.

— Że pani lubiłaś od razu wszystko wiedzieć? — O! pamiętam i widzę że się pani nic nie zmieniła.

— Pod tym względem, to może nie zupełnie, chociaż Mro twierdzi, że dawniej sto pytań zadawałam jej od razu, a że teraz już mi dziesięć wystarcza.

— Pod tym względem? — powtórzył — czyżby pod innym zmieniła się pani tak bardzo? Nie sądziłbym — dodał przypatrując się jej uważnie.

— Ależ panie — zawołała — ja jestem inną osobą, tak inną, że gdy tamtą, którą byłam w dawnych czasach, staje w myśli przedemną, nie poznaję jej prawie.

— To może pani nie poznaje przyjaciół z dawnych czasów?

— Zachowałam pamięć oczu — odrzekła żartobliwie — i pamięć serca — dodała tak serdecznie, że powiedzenie jej mogące łatwo uchodzić za zalotne, przestawało niem być zupełnie.

— I piękność oczu także — dodał Seweryn. — Ale niechże i mnie będzie wolno zadać pani choć jedno pytanie, a mianowicie, czy w szeregu dni, pełnych zabaw, z jakich się życie pani składa, jest czasami jaka wolna chwila którą by pani mogła poświęcić staremu przyjacielowi? Wracam z dzikich trochę krajów i muszę powoli oswajać się z ludźmi. Czy jest jaki dzień, jaka godzina o której przyszedłszy do pani można mieć nadzieję, że nie przeszkodzi się pani i nie wpadnie na hufiec jej wielbicieli?

— Wielbicieli — odrzekła uśmiechając się Iza — mam mało, ale wiele osób które poczuwają się do obowiązku nudzenia mnie bardzo dużo, jednakowoż, najczęściej jestem samą i wolną od 1 do 4, oprócz czwartku, piątku...

— Soboty, niedzieli i reszty dni — przerwał jej wesoło Stewski — a że jutro środa, pani zaś nie miała czasu dnia tego uprzejmem *oprócz* poprzedzić, czy wolno mi być?...

— Ależ oczywiście. Bardzo proszę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

pozycyę groźną: na placu Maryackim i Św. Ducha stała piechota, koło dzisiejszego pałacu Biesiadeckich artylerya, a koło dzisiejszego hotelu Żorża kawalerya. Po podpisaniu adresu deputacya, złożona z 40 obywateli z ks. Leonem Sapiehą na czele udała się czwórkami do gubernatora Stadiona, a za nią szedł masą lud. Stadion przyjął deputacyę życzliwie. Kiedy ks. Sapieha zaczął mówić po francusku, odezwał się jeden z mieszczan: „Prosimy po polsku jako pierwszy wyraz faktycznej konstytucyi“. Stadion zgodził się na wszystkie żądania, zapowiedział, że pozwoli na organizacyę gwardyi, wypuszczenie więźniów, a potem wyszedł z deputacyą na balkon i zapewnił lud, że jeżeli tylko spokój panować będzie, to on poszle do Wiednia jak najprzychylniejsze sprawozdanie. Wśród zebranego tłumu wybuchały okrzyki na cześć Stadiona i deputacyi. Pewna część mieszczan udała się za zezwoleniem gubernatora do więzienia Maryi Magdaleny i uwolniła zamkniętych tam więźniów stanu. W tryumfie niesiono ich na rękach i rzucano im kwiaty pod stopy. Wieczorem całe miasto illuminowano i dopiero po północy wszystko się uspokoiło. Jedną tylko koncesyę zrobiono w tym dniu dla rządu: zaniechano w teatrze przedstawienia „Wiśliczanek“, gdyż rząd obawiał się, aby z tej okazyi nie przyszło do rozruchów. Przedstawienie to odbyło się dopiero 20 go marca. Znienawidzeni we Lwowie ludzie wynosili się z miasta cichaczem i tak wyniósł się Sacher Masoch, oraz burmistrz Festenburg, ten, którego podejrzywano o szatański pomysł polania zwłok Wiśniowskiego i Kapuścińskiego niegaszonem wapnem. Porządek w mieście utrzymywał żywioł obywatelski. Na uniwersytecie zaciągała wartę młodzież, która uformowała 4 kompanie gwardyi narodowej pod dowództwem profesorów.

Wnet się jednak pokazało, że radość była zawczesna i wiara zawielka. W nocy z 20 na 21 marca rozlepiono na murach miasta dwa plakaty: jeden krótki ze strony obywateli: „Kto się dopuści nieporządku, ten jest zdrajcą kraju“ i drugi ze strony rządu, który jakby chciał drażnić ludność, zabraniał schodzenia się, stawania na ulicach itp. Taka prowokacyjna po prostu odezwa irytowała ludzi. Na domiar złego rozpuścił ktoś pogłoskę, że rząd nie chce dopuścić do formowania gwardyi i że podburza chłopów do ponowienia rzezi z roku 1846. Pogłoski te powstały niezawodnie ze źródła mętnego, mającego stosunki z policyą. Dnia 21 marca odbywało się w kościele Dominikańskim nabożeństwo za poległych podczas walki 13 marca we Wiedniu. Pod temi wrażeniami lud zaczął się skupiać i niepokoić. Była to chwila — powiada Smolka — w której katastrofa wisiała na włosku. Jedno brzęknięcie szablą, jedno nieostrożne wyrwanie się konia, mogło wywołać zaburzenia. Wówczas obywatele postanowili utworzyć lokalny komitet bez rządu. Komitet ten, którego prezesem był Dobrzański, zgromadził się w ratuszu i stąd nazwano go komitetem ratuszowym. Dobrzański zdał przewodnictwo Dzierzkowskiemu i udał się między wzburzone tłumy ludu, który powtarzał sobie z ust do ust straszną pogłoskę o nadciąganiu chłopstwa i domagał się broni. Jak mógł uspokajał Dobrzański lud, a kiedy stanął koło uniwersytetu, (gdzie dziś stoi Dom Narodny), trafił na uroczystą scenę, kiedy akademicy w obecności Stadiona przysięgali wierność cesarzowi Ferdynandowi. Zdawało mu się, że to jest zapowiedź faktu, który serce każdego Polaka unosi w nadziemskie sfery, zdawało mu się, że nadzieje narodu są urzeczywistnione, — i ten człowiek, który trzy dni oka nie zmrużył, ostatkiem głosu zawołał: „Polska w dawnych granicach!“ i padł zemdlony. Zaniesiono go do domu i to odciągnęło lud od arsenału. Po kilku godzinach Dobrzański był znowu na czele ludu i z nową energią utrzymywał w nim karność.

Tymczasem komitet ratuszowy zastanawiał się nad swoim stosunkiem do rządu. Postanowiono zawiadomić go w drodze legalnej o zawiązaniu się komitetu i prosić o sankcyę. Ale burmistrz oświadczył, że nie uznaje komitetu. Dzierzkowski apelował do gubernatora, ale Stadion rozwiązał komitet. W ten sposób pozbawił się rząd najdzielniejszego sprzymierzeńca w utrzymywaniu porządku w mieście. Ponieważ zapadła była uchwała, aby trzymać się drogi legalnej, Dzierzkowski rozpuścił komitet, co na lud przygnębiająco oddziałało. Dnie 22, 23 i 24 marca przeszły cicho i ponuro.

Komitet jednak faktycznie nie przestał istnieć, gdyż zorganizował się w deputacyę, która miała przedłożyć adres kraju cesarzowi. Adres ten, jeden z najpiękniejszych aktów polskiej literatury politycznej, kończył się oświadczeniem, że tylko komitet narodowy pod opieką cesarza może przynieść ratunek wśród ogólnego wzburzenia umysłów.

Deputacya znalazła się we Wiedniu wśród najkorzystniejszych warunków. Witano ją z niesłychanym zapałem. Lud rzucał jej pod stopy garściami kwiaty, a cesarz sypał jej garście obietnic, zdolne zawrócić najtęższe umysły. Arcyksiążę Jan nazwał rozbiór Polski nietylko grzechem ale błędem, a w urzędowej *Wiener Ztg* pojawiły się artykuły sympatyczne dla Polaków. Równocześnie jednak, gdy się drukowały te artykuły, drukowano dla Stadiona tajną instrukcyę, jak ma rozwiązać kwestyę pańszczyzny w Galicyi w ten sposób, aby między szlachtę a lud rzucić zarzewie jątrzenia. Wreszcie zaczęto rozumieć, że rząd tylko pod grozą rewolucyi robi słodkie nadzieje i że Stadion mimo pozoru liberalizmu nie dorósł do zadania chwili. Nasuwała się kwestya, aby stworzyć takie ciało, któreby z jednej strony kontrolowało rząd, a z drugiej doradzało krajowi, co ma w danych warunkach robić. W ten sposób z komitetu ratuszowego powstała Rada Narodowa, której organem było pismo p. t. *Rada Narodowa* później *Gazeta Narodowa*. Pierwszym krokiem Rady Narodowej było wezwanie do obywateli, aby uprzedzili rząd i darowali pańszczyznę. Była to bezwątpienia kwestya najdrażliwsza i najbardziej sięgająca w finansowe stosunki. Mimo to wielka liczba obywateli na pierwszy odgłos w tej chwili wystąpiła z zupełnem zniesieniem poddaństwa bez żadnego odszkodowania. Między pierwszymi byli ks. Adam Czartoryski i hr. Włodzimierz Dzieduszycki.

Ponieważ konstytucya kwietniowa weszła właśnie w życie, Stadion nie mógł już rozwiązać Rady narodowej. Dla przeciwdziałania jej powadze zwołał tedy t. zw. sejm postulatowy. Była to karykatura parlamentu, złożona z hrabiów, książąt, baronów, wyższych duchownych i urzędników. Działalność tego sejmu była całkiem skrępowana, gdyż wolno mu było tylko przyjmować do wiadomości wnioski rządu. To też trafnie określono jego zadanie, że sejm ów „prosił zawsze o to, czego nie dostał i dziękował za to, o co nie prosił“. Zdrowy instynkt narodu odwrócił się od tego sejmu, który wkrótce uznał sam siebie niekompetentnym. Wówczas Stadion rozdmuchał kwestyę ruską i zwołał przeciw Radzie narodowej Radę ruską, i t. zw. Ziemiaństwo, złożone z uczciwych obywateli, w których gubernator wmówił, że Rada narodowa propaguje komunizm. Sprawę t. zw. Beiratu Stadiona broniła *Gazeta Lwowska*, Ziemiaństwo *Polska*, sprawę ruskich *Zorja*.

Obok gwardyi narodowej, która była ukochanem dzieckiem Lwowa, zajmowano się wówczas także gorąco wyborami do sejmu wiedeńskiego. Wypadkiem była także rocznica śmierci Wiśniowskiego, której obchodu chciał zakazać Hammerstein, jenerał załogi lwowskiej, lecz ostatecznie obchód ów się odbył 31 lipca. Entuzyazm wywołał także przyjazd Bema i Dwernickiego. Dnia 7 września odbył się przegląd gwardyi narodowej na placu św. Jerzego w obec Dwernickiego. Weteran polski na widok gwardyi konnej wsiadł na konia i pokazywał jak się dawniej tą bronią robiło, a wtedy gwardya zaśpiewała mu: „Grzmią pod Stoczkiem armaty“.

Wybrano wtedy także pierwszą radę miejską z wolnych wyborów, której prezydentem był Michał Gnoiński. Grozą przejmujące wrażenie wywarło samobójstwo podpułkownika Cisi, który 31 lipca usiłował podburzyć [illegible] z obawy [illegible]. Również wstrząsającym wypadkiem była śmierć członka Rady narodowej, Abrahama Kohna, którego struli jego współwyznawcy z pobudek politycznych.

Tymczasem z Wiednia nadeszły wiadomości o wielkich rozruchach, o zamordowaniu przez lud hr. Latoura, o uprowadzeniu cesarza przez kamarylę, o poruczeniu Windischgraetzowi zdobycia miasta — a przytem także o obradach sejmu wiedeńskiego, któremu przewodniczył Smolka.

Doniesienia o postępach armii, oblegającej Wiedeń, oddziaływały [illegible] na wojsko, skoncentrowane we Lwowie — objawiło ono na każdym kroku chęć wywołania awantur. Dnia 1 listopada otrzymał Hammerstein przez kurjera wiadomość, że Wiedeń zostanie dziś wzięty. W tej chwili cały jego ton w postępowaniu zmienił się. Zbliżał się właśnie dzień zaduszek. Jenerał gwardyi, Wybranowski [illegible] w mieście. Na to Hammerstein odrzekł, że i wojsko [illegible] i nie może zabronić [illegible]. Wybranowski [illegible] czuwał nad spokojem w mieście. W tem doniesiono, że jacyś [illegible] napadli na gwardzistę. Stało się to na rogu dzisiejszej ulicy [illegible] — [illegible] gwardzistę, był zaś nim Nawrocki czeladnik krawiecki. Wybranowski na czele deputacyi udał się znowu do Hammersteina z prośbą o ukaranie winnych. Hammerstein przyjął ją dość grzecznie, i przyrzekł obejrzeć koszary w celu wyszukania winowajców. Tam jednak nie dopuszczono ich, a kiedy opuszczali obóz, ujrzeli wycelowane na miasto armaty i stojących przy nich żołnierzy z zapalonymi lontami.

Wkrótce potem — a było to około 10-ej w nocy — usłyszano trzy strzały armatnie bez żadnego widocznego powodu. Wybranowski udał się znowu do Hammersteina, który mu rzekł, że to był tylko sygnał alarmowy. „W takim razie dlaczego sygnał alarmowy?“ — pytał Wybranowski. Na to Hammerstein dał [illegible] gwardyi [illegible] placu [illegible] do [illegible] nie przyniosła [illegible] gwardyę a [illegible] porządku [illegible] jest już [illegible] nie przyjdzie [illegible] które [illegible] dawali [illegible] i ustawiono je [illegible] Ormiańskiej [illegible]. Równocześnie [illegible] panował [illegible] gromadnie [illegible] jakby [illegible]. Byli to [illegible] z placu [illegible] chłopaka, [illegible] wówczas [illegible] — [illegible] tworzyć [illegible] ustawiano [illegible] po- [illegible] przewrócono [illegible] bezpieczeństwa [illegible] budowania [illegible] działali tu [illegible] Hammersteina, [illegible] gwardya [illegible] gwardya [illegible] ludność [illegible]. Hammerstein [illegible] usunąć [illegible] reszty [illegible] uczynił, [illegible] rozbrojonych [illegible] pijanych [illegible], za [illegible] strzał [illegible] nie wrócić [illegible] już [illegible] które [illegible] panowie [illegible] w za- [illegible]. Około [illegible] kościoła [illegible] o któ- [illegible] or- [illegible] kiego [illegible] wskie [illegible] ogień [illegible] szych [illegible] dziką [illegible] w pół do 12-tej stały już w płomieniach ratusz, teatr stary, akademia wraz z biblioteką, gimnazyum, szkoła techniczna, dom Rady Narodowej i kilka kamienic. Mimo wywieszenia białej chorągwi trwało bombardowanie do ½ do pierwszej. Rzucono na miasto według urzędowych notat 648 pocisków; zabito zaś 78 ludzi (w tej liczbie 21 kobiet i 8 dzieci) i raniono 66 osób. Liczba ta jednak była niezawodnie większą, gdyż współcześni świadkowie mówią, iż np. rannych było 200, lecz kryli się oni przed rozjuszonem i pijanem wojskiem. Ofiarami padali głównie rzemieślnicy, akademicy i emigranci.

Wysłano do Hammersteina deputacyę z prośbą, aby miał litość nad miastem. Warunki kapitulacyi były ubliżające i nieuzasadnione. Rozwiązano legię akademicką, gwardyi odebrano odznaki. Pomimo podpisania kapitulacyi, żołnierze gospodarowali we Lwowie jak w zdobytem mieście. Strzelano do spokojnych ludzi o zakład, strzelano do tych, którzy usiłowali gasić pożar, tak, że wszelki ratunek od ognia był niemożliwym. Z akademii wyniesiono wszystkie książki, a żołnierze sprzedawali je za kieliszek wódki, za cygaro. Sam Hammerstein, obrażony przemową deputacyi akademickiej, wołał: „Haut zu! Haut zu!“ i płazował akademików, wieczorem zaś objeżdżał biwakujące po ulicach bataliony i odczytywał im radosną wieść: Wiedeń wzięty przez Windischgraetza. W nocy z dnia 2go na 3go listopada spadł rzęsisty deszcz, jakby chcąc obmyć wielką plamę krwi i dopomódz akcyi ratujących.

Wbrew przyrzeczeniom, Hammerstein nazajutrz ogłosił miasto jako będące w stanie oblężenia, rozwiązał kluby, ogłosił sądy doraźne, stłumił prasę, z której jako jedyne źródło informacyi pozostała *Gazeta Lwowska*. Nastało 10 lecie bezprzykładnego ucisku za rządów Bacha.

Na zakończenie swego odczytu dał prelegent w podniosłych słowach wyraz czci dla ówczesnego obywatelstwa lwowskiego. Licznie zgromadzona publiczność hucznymi oklaskami zesolidaryzowała się z temi słowami, dziękując zarazem prelegentowi za piękny odczyt.

Feu.

W żargonie teatralnym oznacza ten wyraz opłatę, jaką otrzymują aktorzy od każdego występu, niezależnie od pensyi, jaką pobierają. Przeciwko temu „feu“, które z Francyi rozpowszechniło się po całej Europie, a temsamem i u nas, stanowczo wystąpił najznakomitszy nasz dramaturg i wielki znawca sztuki p. Kazimierz Zalewski, utrzymując, że przynoszą one uszczerbek sztuce dramatycznej, a nawet ją zabijają. Doskonałe jego wywody powtarzamy w całości, nadmieniając dla zrozumienia rzeczy, że nowa dyrekcya teatrów rządowych w Warszawie zniosła owo „feu“, a wcieliła je do pensyi, tak że każdy z artystów ma obecnie większą pensyę, ale nie pobiera osobnej opłaty od każdego występu.

Bardzo doniosłego znaczenia dla sztuki, choć pozornie tylko wewnętrznych i materyalnych stron teatru dotyczy — pisze p. Zalewski — jest zmieniony system wynagrodzenia artystów przez zniesienie tak zwanego „feu“, — opłaty za dzienny występ. Pozornie, powtarzam, chodzi tu tylko o materyalne stosunki, które równie dla publiczności jak i krytyki powinny zostać obojętnemi. W rzeczywistości jednak jest to zmiana poważna i pierwszorzędnego znaczenia dla biegu repertuaru i obsady ról, a więc i dla sztuki samej bardzo stanowcza. To nieszczęsne „feu“ tyle złego narobiło naszemu teatrowi! Ileż to razy skarżył się na nie nieboszczyk Gudowski, prezes dyrekcyi teatrów, którego wprawdzie nikt o znawstwo sztuki pomawiać nie mógł, ale też i zdolności administracyjnych trudno mu było zaprzeczyć. Kto „feu“ w teatrze wymyślił — powtarzał on często — ten chyba na samem dnie piekła smaży się w osobnym kotle za karę.

Rzeczywiście „feu“ od lat dwudziestu było plagą naszych teatrów. Szlachetną emulacyę artystyczną zamieniało ono w walkę intryg i zabiegów o jak najczęstsze granie w jak największej ilości ról.

Ileż to razy schodził z afisza utwór w pełni powodzenia, bo Q, X i Y. nie grali w nim, a parotygodniowa przerwa zarobku sprowadziłaby na nich elementarną klęskę ogłodzenia. Innego znowu utworu nie można było na repertuar wprowadzać, bo udział kilkunastu osób, wyżej płatnych od występu, groziłby deficytem kasie teatralnej. I jak tu pogodzić tak sprzeczne interesa instytucyi z artystami, gdzie właściwe zadania teatru i wymagania publiczności najmniej były uwzględniane?

I daremno było przekładać, że to stosunki anormalne, że w teatrach dworskich czy przez rząd subwencyonowanych, nigdzie nic podobnego nie ma; tam wszędzie artyści mają stałą pensyę, zastosowaną do ich talentu i pracy, stałą, niezmienną, na której byt swój opierają. „Feu“ w takich teatrach, a w niewielu się ono praktykuje, to tylko minimalne odszkodowanie za istotne koszta występu, za rękawiczki, pranie bielizny, zniszczenie ubrania, obuwia i t. p. Tylko w teatrach prywatnych i to tam głównie, gdzie nie angażują artysty rocznie, ale do pewnej sztuki, „feu“ jest większe, bo ono zastępuje pensyę. To cały zarobek aktora, łączący powodzenie pewnej sztuki z jego bytem. Sztuka upadła lub zeszła z afisza, aktor, jeżeli w następnej nie ma roli, musi sobie szukać miejsca w innym teatrze, często siedzieć parę miesięcy bezczynnie, żyjąc z zaoszczędzonych z „feu“ funduszów. Rozumie się, że bardziej utalentowani, nigdy nie doświadczają takiego kłopotu, bo równie autorzy, jak dyrektorowie teatrów, ubiegają się o nich. Przywiązują ich nawet do teatru stałą pensyą zwykle, jak we Francyi, bardzo małą, i po to tylko ustanowioną w kontrakcie, aby obie strony na siebie liczyć mogły. Takie kontrakty bywają nawet przedmiotem spekulacyi dyrektorów, bo jeden dyrektor wypożycza drugiemu artystę, naturalnie ze znacznym zarobkiem, o ile w jego teatrze aktor nie ma zajęcia.

Ale w naszych stosunkach przecież wszystko to się nie praktykuje. „Feu“ straciło też zupełnie swój charakter, zmieniło się w ruchomą skalę pensyi, zależną od tysiąca okoliczności, nic wspólnego ze sztuką nie mających. Skończyło się z niem, i wielkie to szczęście dla teatru, równie jak dla artystów, którzy z pewnością, otrzymawszy stałe podstawy bytu, wspominać będą przeszłość, jako złe minione.

Dotychczasowy system powstrzymywał rozwój młodych talentów, przeszkadzał w zaciąganiu sił nowych, paraliżował bieg repertuaru pobocznemi względami, a nawet najwybitniejszym artystom przynosił szkodę niepowetowaną, bo ich zmuszał do podejmowania się często najniewłaściwszych dla nich zadań.

Wezmę tylko jeden przykład z wielu, p. Rapackiego. Trzydzieści lat temu przyjechał on na gościnne występy z Krakowa do Warszawy. Miał już wtedy sławę wyrobioną, pierwsze stanowisko w personalu męskim, tak jak Modrzejewska w kobiecym koźmianowskiego teatru. Pomijam tu współzawodnictwo z Rychterem i ustąpienie tego ostatniego z warszawskiej sceny, bo nie historyę teatru w tej chwili piszę, a chodzi mi wyłącznie o p. Rapackiego, który w Warszawie, zaraz po gościnnych występach zajął, tak samo jak w Krakowie, pierwsze stanowisko przy Królikowskim, Żółkowskim w miejsce Rychtera. Samo to wymienienie dwóch nazwisk największych artystów polskich, którzy takim blaskiem okryli warszawską scenę, nasuwa przypuszczenie, że ten kto obok nich na równi stanął, musiał także przynosić ze sobą nietylko nadzwyczajne zdolności i aktorską rutynę, ale i jakiś nowy czynnik wprowadzać do świata sztuki aktorskiej. I rzeczywiście wprowadzał go p. Rapacki, a był nim realizm w grze scenicznej, bynajmniej nie krańcowy, nic wspólnego z później urodzonym naturalizmem nie mający. Była to widoczna dążność do szukania prawdy w przedstawionych postaciach. To poszukiwanie prawdy oparte było przedewszystkiem na bezpośrednich obserwacyach artysty, z czego też wynikło, że p. Rapacki sztukę charakteryzowania się, zmianę rysów twarzy i ruchów, a nawet przerabiania głosu i dykcyi doprowadził do ostatnich granic i pod tym względem stanowczo za reformatora naszej sztuki aktorskiej uważać go można.

Z początku chcąc obniżyć wartość tej drobiazgowej staranności o charakteryzacyę, szerzono o p. Rapackim wieści z za kulis, że sam sobie peruki szyje. Może być, że je szył nawet, dopóki fryzyer według jego wskazówek odpowiednich peruk robić się nie nauczył; w każdym razie tem większa zasługa artysty, że musiał przezwyciężać takie trudności, aby przy każdej nowej roli stanąć przed publicznością z twarzą zmienioną do niepoznania, do charakteru przedstawianej postaci najściślej zastosowaną. Wszakże dotąd Jan Kazimierz w „Mazepie“ jest arcydziełem charakteryzacyi artysty, który całą galeryę takich portretów stworzył przed kilkunastu laty, że tylko wspomnę o Karolu V w „Powiastkach królowej Nawarry“, albo o Filipie II w „Don Karlosie“.

Zerwał też p. Rapacki z tradycyą karykaturalnej brzydoty w rolach „czarnych charakterów“, i bardzo słusznie. Jagon nie mógł być potwornym, bo nie zdobyłby zaufania Otella. Twarz piękna łatwiej wzbudza w nas wiarę i życzliwość, niż szpetna i odrażająca.

Cheval de bataille p. Rapackiego były typy krakowskie wszelkich sfer, nie wyłączając arystokracyi. Był w nich niezrównany. Nawet Żółkowski w „Radcach pana radcy“ palmę pierwszeństwa ustąpić mu musiał. Nic w tem dziwnego zresztą, bo p. Rapacki takich Dziszewskich studyował na miejscu i odtwarzał. Żółkowski musiał ich tworzyć jedynie intuicyą artystyczną. A Vauclain w „Safandułach“ a tu znowu, jako kontrast, ów łyk krzykliwy w „Polowaniu na męża“ Bałuckiego. Ileż mógłbym wyliczyć podobnych postaci świetnych, typowych z pierwszego okresu działalności p. Rapackiego na warszawskiej scenie, trwającego mniej więcej lat piętnaście w czasach największego tej sceny rozkwitu. Wywalczył sobie artysta w owych czasach nietylko pierwszorzędne, ale zupełnie odrębne stanowisko, zrzekłszy się odrazu aspiracyi do ról bohaterów tragicznych i dramatycznych. Pogodziwszy się z warunkami głosu ubogiego w metaliczne dźwięki, p. Rapacki stał się panem najsłuszniejszem prawem talentu i pracy całego repertuaru ról charakterystycznych równie z podkładem komicznym, jak dramatycznym, i na tem polu nie miał współzawodnika. Rychtera nie było, a któż inny mógłby z nim walczyć?

Niestety, artysta musiał sam burzyć gmach tak piękny i z taką wytrwałością wznoszony. Któż mu za winę poczyta, że obarczony ciężkiemi obowiązkami rodzinnemi, musiał podwajać swoją pensyę zarobkiem dziennym, że dla owego nieszczęsnego *feu* brał rolę po roli, czasem i zupełnie dla siebie nieodpowiednią, że ucząc się po kilka arkuszy dziennie, studyów z natury zaniedbał, że nowemi nabytkami skarbu obserwacyi nie wzbogacał? Czasu na to nie było, a z resztą czyż warta takiego trudu większa część ról, jakie Rapacki przez ostatnie lat dziesięć na warszawskiej scenie grywał? Nie miał nawet z czem jeździć na gościnne występy do Krakowa i Lwowa, świetne jego kreacye z przeszłości każdy miał w pamięci, a nowych zaledwie kilka przez tak długi czas się znalazło. Należało mu się najsłuszniej wiele ról po Królikowskim, zabrał je kto inny, po Żółkowskim także się innym artystom dostały. Zresztą Rapacki grywał w tych samych sztukach inne role, więc został przy nich, bo niewarto było zmieniać, uczyć się na niepewne ról w starych sztukach, które, choć bogactwo repertuaru stanowiły, wyrzucane były z afisza jak sprzęt nieużyteczny lub towar zleżały.

Praca całego pokolenia artystów, najświetniejsze tradycye sceny zmarnowane zostały w ten sposób bezpowrotnie. Zerwano nici wiążące przeszłość z dobą obecną, zagubiono tradycye gry i szkoły aktorskiej. Że się do tego *feu* w znacznej części przyczyniło, to dla mnie przynajmniej nie ulega wątpliwości — spraw teatralnych byłem najbliższym świadkiem przez tak długo, więc chyba mam prawo mówić o nich „en plaine connaissance de cause“. Stała się krzywda p. Rapackiemu, wyrządzano mu ją długo; czy ją powetuje teraz, gdzie kilka nowych rozporządzeń dyrekcyi zapowiada wiele zmian na lepsze“.

Z izby sądowej.

Berlin 31 października.

(*O prowizyę z posagu*).

Przed tutejszym senatem cywilnym, toczyła się senzacyjna rozprawa, której bohaterem był hr. Hoensbroeck redaktor pisma codziennego *Rundschau*. Pan ten był dawniej katolickim księdzem i należał do zakonu OO. Jezuitów. Wystąpiwszy jednak z zakonu dla romantycznych powodów, przeszedł na protestantyzm i napisał kilka broszur, wymierzonych przeciw zakonowi. W nagrodę za to otrzymał od protestantów redaktorstwo protestanckiego dziennika *Rundschau*. Wkrótce potem postanowił Hoensbroeck rozpocząć polowanie na posażną żonę.

W tym celu ogłosił on był inserat, który opiewał: Mężczyzna 40 letni z szlacheckiej rodziny chce tą drogą poślubić bogatą pannę. Niebawem zgłosili się pośrednicy małżeństw, którym hrabia przyrzekł dać 5% z posagu, poczem oni wprowadzili go w różne rodziny szlacheckie. Niebawem jednak Hoensbroek napisał do agentów, że porzucił myśl małżeństwa. W kilka tygodni później ożenił się z córką pewnego wyższego urzędnika pruskiego, która mu wniosła w posagu 700 000 marek. W krótki czas po tem zjawił się u hrabiego jeden z agentów i utrzymując że to on wprowadził go w rodzinę z której hrabia wybrał sobie żonę, zażądał od niego pięć procent owej prowizyi. Hoensbrock odmówił temu żądaniu. Na to agent zaskarżył go do sądu. Hoensbrock, widząc, że zanosi się na skandaliczną historyę, chciał już agentowi dać 20.000 marek, ale pośrednik nie przyjął tego, utrzymując, że woli drogę sądową.

Po rozpatrzeniu sprawy uznał sąd hr. Hoensbrocka niewinnym, a pretensye agenta nieusprawiedliwionymi.

* * *

Lwów, 2 listopada.

(*Dzieciobójstwo*).

Sędziowie przysięgli uznali Domkę Boch, oskarżoną o utopienie własnego dziecka, za winną zbrodni morderstwa, na podstawie zaś tego werdyktu trybunał skazał ją na karę śmierci.

* * *

Lwów, 3 listopada.

(*Podpalenie*).

Iwan Rewij zwany „śpiewakiem“, mężczyzna 40 letni był zarobnikiem w Kulikowie, lecz był bardzo leniwy i nie wiele zarabiał. Ponieważ nadto był sądownie karany za bójki i pijaństwo stał się dla gminy ciężarem. Jego bezczynne życie sprzykrzyło się w końcu jemu samemu, to też na początku sierpnia br. odgrażał się on w obec włościan, że około święta Matki Boskiej zrobi coś takiego, za co dostanie się do kryminału. W istocie 26 sierpnia podpalił stodołę Potorejki, do którego miał złość za to, że go rzekomo źle wynagradzał. Pożar zniszczył 3 stodoły gospodarskie, wyrządzając kilku włościanom niepowetowane szkody, gdyż w budynkach tych był nagromadzony cały plon tegoroczny. Podczas kiedy ludzie ratowali, „śpiewak“ stał na uboczu i przypatrywał się obojętnie dziełu zniszczenia.

W śledztwie Rewij przyznał się do czynu, usprawiedliwiał się jednak tem, że w dniu czynu pił na umor po rozmaitych szynkach. Szynkarze kulikowscy jednak zeznali, że Rewij pił u nich istotnie, ale dopiero nazajutrz po pożarze, że chłop ten zresztą ma tak mocną głowę, iż go nawet 7 półkwaterków wódki z nóg nie zwali.

Dziś tedy stanął Rewij przed sądem przysięgłych pod zarzutem zbrodni podpalenia.

Na podstawie jednomyślnego werdyktu sędziów przysięgłych, uznającego Rewija winnym, skazał go trybunał na 12 lat ciężkiego więzienia obostrzonego postem co 14 dni, oraz na zapłacenie odszkodowania w wysokości około 3000 zł.

Kronika.

Lwów 3 listopada.

Wiadomości urzędowe. Cesarz nadał pensyonowanemu nauczycielowi w Czchowie, Michałowi Nieciowi, srebrny krzyż zasługi z koroną. — Oficyał rachunkowy Stanisław Leńczowski mianowany rewidentem rachunkowym, a oficyał kancelaryjny Władysław Czyżewski oficyałem rachunkowym przy wyższym sądzie krajowym we Lwowie.

Radzca namiestnictwa i członek dyrekcyi gal. funduszu propinacyjnego, Antoni Jägermann, został mianowany radzcą dworu. — Radzca wyższego sądu kraj. w Krakowie Michał Krzeczowski otrzymał przy sposobności przejścia na emeryturę tytuł i charakter radzcy dworu.

Regulacya płac na kolei. Konferencya dyrektorów kolei państwowych odbyta 24 października w Wiedniu, uchwaliła podwyższyć płace: słabie o 50 zł., podurzędnikom o 100 zł. rocznie, urzędnikom tak jak kolej północna płace do 1000 zł. o 200 zł., większe zaś do 2500 zł. o 100 zł. rocznie — wyższe rangi otrzymają w dniu 2 grudnia remuneracye. Podwyższenie wejdzie w życie z dniem 2 grudnia jako w dzień jubileuszu Cesarza, a oprócz tego będzie rozdanych wiele odznak.

Koncert słynnego skrzypka Fryderyka Kreislera odbędzie się w piątek 4 listopada w sali Domu narodnego. Niezrównany ten skrzypek koncertował we Lwowie po raz ostatni w roku 1893, a już wówczas budził ogólny entuzyazm nietylko we Lwowie, ale we wszystkich większych miastach europejskich, szczególnem zaś powodzeniem cieszył się w Warszawie, Petersburgu, Moskwie, a także w Medyolanie, gdzie na ogólne żądanie grał aż pięć razy przy wysprzedanym teatrze. Kreisler kształcił się u zmarłego mistrza paryskiego Mossarta, który przepowiadał dwunastoletniemu wówczas uczniowi, że będzie największym skrzypkiem na świecie. Trudno osądzić, czy ta przepowiednia się spełniła, nie ulega jednak wątpliwości, że co do wielkiego tonu i techniki w pewnych kierunkach nader wydoskonalonej, żaden ze skrzypków młodszej generacyi nie może się równać z „Sarassatem przyszłości“, jak zwały Kreislera niektóre pisma niemieckie. Po ukończeniu studyów w Paryżu koncertował Kreisler przez dwa lata w Ameryce, gdzie nosił przydomek „drugiego Paganiniego“ i zarobił w tak krótkim przeciągu czasu wielki majątek.

W Czytelni katolickiej miał w poniedziałek ks. dr. Pechnik odczyt o „Aforyzmach o wychowaniu“ Piasta, drukowanych ubiegłego tygodnia w *Słowie Polskiem*. Prelegent wykazał, że autor „Aforyzmów“ nie posiada gruntownej znajomości pedagogii, filozofii i historyi i dlatego popada w swej ostatniej pracy w nielogiczności, wydaje sądy wręcz mylne. Właściwie nie wartoby brać tych „Aforyzmów“ na seryo i należałoby traktować je z humorystycznej strony, ale są tam niektóre tego rodzaju iż trzeba je omówić i sprostować. Między innemi znajduje się wiele logicznych sprzeczności, jak np. „celem wychowania nie hofrat, ale geniusz“, a w innem miejscu powiada autor: „szkoły nie mogą wydawać geniuszów“. Zrazu Piast apoteozuje dzielność i szlachetność Polaków a w dalszym ciągu zarzuca, że wszystkie warstwy naszego narodu są nawskroś zdemoralizowane i zgniłe, że szlachta oddaje się kartom, lubieżności i pijactwu, że mieszczaństwo jest głupie i niemoralne, że chłop jest pijanicą, a żyd pasożyt i wyzyskiwacz. Mimo to w dalszym znowu ciągu utrzymuje p. Szczepanowski, że Europa sostanie moralnie odrodzoną przez Polaków. Wiedzą Piast pogardza, bo jest ona tylko „zarejestrowaniem przeszłości“, a tylko „każdy tchórz, kiep i dureń pyta się wiedzy“ jeśli ma w czem wątpliwość; „bohater zaś nie pyta wiedzy, lecz własnego serca“. Nie przeszkadza to Piastowi twierdzić następnie, że „broń duchowa, to wiedza i umiejętność“, a więc, że geniusz nawet nie obejdzie się bez wiedzy.

Piast sprzęga idealizm Mickiewicza i Krasińskiego z pozytywizmem Comte'a. Potępia nauki Akwinasza, Loyolich i Liguorich (to znaczy św. Tomasza, św. Ignacego i św. Alfonsa — i w ten jedynarny sposób wyraża się o świętych katolickich), jako strupieszałe, a zaleca ewangelię narodowo-polską, według Mickiewicza i Krasińskiego, nadniętych messyanizmem. Tę „ewangelię narodową" pragnie Piast uczynić nawet „ewangelią ludzkości". Dopełnienie jej zaś znajduje Piast u Comte'a. Jedni piszeto, by szkoły nasze wyrzuciły „całą sieczkę filologiczną i prawniczą" i uczyły tylko nauk przyrodniczych i matematycznych. Piast pokrzywdził swych „forzymach dużo narodów, głównie zaś Niemców, których filozofię gani, szkołę potępia, ale obradza przytem wielką nieznajomość języka niemieckiego. Szkoły angielskie otacza Piast uwielbieniem, z czego wnosiłby można, iż tam już dawno porzucono naukę filologii i prawa, a przyjęto pozytywizm, co jednak nie jest.

Religię uważa Piast za sprawę serca, przeczając, że uczucie samo sprowadza często na bezdroża. Duchowieństwo uwłacza, oszczędzając tylko niewierzących kapłanów, aby módz potępić tych, których nie lubi. Wogóle zarzuca księżom, że „żyją z grzechów naszych"; chyba więc ogólnia fakt, iż polscy duszpasterze ruscy pobierają pewne bardzo liche datki za słuchanie spowiedzi. Jezuitom specjalnie zarzuca, że „złowrogiem panowaniem na wieków cofnęli Kościół katolicki i dotknęli paraliżem mózgowym i sercowym całe narody, jak hiszpański, portugalski, południowo włoski i polski". Tomiast wygłasza panegiryki na cześć protestantyzmu, co jasno tłómaczy, skąd nienawiść do zakonów katolickiego. Więc równocześnie dowiadujemy się od Piasta, że naród polski jest dzielnym i że nie niedołężnym, że Jezuici zgubili Polskę i że Polska upadła, bo „szlachcie zakażony był truciną przywileju, żyd truciną wyzysku, duchowieństwo się opasłem i wyziębłem, kołtun był zakuty swojej ograniczoności, a chłop pogrążony w gnuśności".

Takich i tym podobnych sprzeczności wykazał prelegent dużo, kończąc następującemi wnioskami, które w sprawie reformy szkoły można wysnuć z teoryzmów Piasta: 1) wyrzucić całą sieczkę filologiczno prawniczą, dogmatykę i katechizm; 2) pominąć przy nauce historyi badania historyczne a zaufać intuicyi; 3) pojęcia wykładane oprzeć na pozytywizmie Comte'a; 4) założyć wielki zakład prywatny, odpowiadający dawnym tradycyom i dzisiejszym potrzebom społeczeństwa polskiego, z którego płynąłby świeży, ożywczy prąd, gdzieby wyrastali nie „karyerowicze naukowi z zajęczem sercem i ptasim mózgiem" i hofraci. Ale — kończy prelegent — organizacyi i kierownictwa takiego zakładu nie możnaby powierzyć Piastowi, bo zamiast źródła owych ożywczych zdrowych tchnień, byłoby to bagno protestantyzmu i niedowiarstwa.

Słuchacze podziękowali oklaskami ks. Pechni za odczyt i uprosili, by wydał go w osobnej broszurze.

Ślub. Dnia 22 b. m odbędzie się w kościele parafialnym w Jasionowie ślub Aleksandra hr. Wodzickiego, syna śp. Kazimierza i Józefy z hr. Dzieduszyckich, z panną Maryą Dzieduszycką, córką śp. Augusta Dzieduszyckiego i ś. p. Melanii z Szeptyckich.

Rozdanie medalu jubileuszowego. Wszystkich weteranów stanu niesczynnego 30 go pp., którzy mają prawo do otrzymania medalu, wydanego na pamiątkę jubileuszu cesarskiego i pozostają we Lwowie, komenda tego pułku zaprasza na uroczyste rozdanie medalów pamiątkowych, która się odbędzie dnia 2 grudnia, z tą uwagą, że jeśli w uroczystości tej zechcą wziąć udział, winni o tem ustnie lub piśmiennie zawiadomić komendę 30 pułku (na cytadeli) najdalej do dnia 25 listopada.

Odczyt prof. Karola Nittmana o wycieczce do Danii, zapowiedziany pierwotnie na dzisiaj, odbędzie się w Kole literackiem dopiero w sobotę, dnia 6 bm.

Encyklika Ojca św. o anarchizmie ma się w tych dniach pojawić w Rzymie.

Komitet polskich lekarzy, pragnących wziąć udział w międzynarodowym zjeździe lekarskim w Paryżu, obradował onegdaj w Krakowie i obrał prezesem dr. Edwarda Korczyńskiego, wiceprezesem dr. Wicherkiewicza, a sekretarzem dr. Augustyna Kwaśnickiego, redaktora *Przeglądu lekarskiego*.

P. Jan Jakubowicz, uczeń Leszetyckiego, wielce utalentowany pianista, po odbyciu studyów w Wiedniu i Paryżu, osiadł na stałe we Lwowie. Nasz świat muzykalny powiększył się więc znowu o jedną wybitną siłę.

Paderewski ukończył już zupełnie swoją operę (do libretta Nossiga), a obecnie zajmuje się instrumentacyą. Pierwsze przedstawienie będzie w Dreźnie. W Ameryce utworzył się już syndykat dla przedstawień tego dzieła.

Teatr polski w Petersburgu. Przedstawienia trupy polskiej p. J. Popławskiego z p. Gabryelą Zapolską na czele, rozpoczną się w Petersburgu dnia 7 listopada. W dniu tym oprócz „Ślubów panieńskich" Fredry z p. Moszką w roli Klary, odegraną będzie „Barkarolę" M. Gawalewicza.

Miła młodzież. Ze Stanisławowa donoszą: W tych dniach wydalono z tutejszej szkoły realnej i wszystkich szkół austryackich dwóch uczniów z VI klasy, a to niejakiego Szczerskiego i Kozłowskiego, synów maszynistów kolejowych. Zajmowali się oni kolportowaniem pisma, potajemnie wydawanego przez brata Kozłowskiego, dwudziestoletniego młodzieńca, pod tytułem „Seminarzysta". Pismo to obskurne, pełne bylo treści demoralizujących i antireligijnej. Prócz bezwstydnych wierszy i artykułów, opisów chorób płciowych i dekameronskich anegdot, podawało sposób fabrykacyi dynamitu. Wydawnictwo jest wypędzonym z klasztoru; elukubracye jego wszelkie rozpowszechniał między najmłodszymi uczniami.

Konstanty Winiarski, morderca swej żony i swego teścia Misiadzkiego, został uznany za chorego umysłowo. Lekarze bowiem stwierdzili, że zachodzi u niego urojenie niewiary małżeńskiej na tle alkoholizmu. Orzeczenie to wywołało wśród ludu w Samborze ogromne oburzenie, gdyż wskutek tego przesłania człowiek, który dziabał przecież z całą przytomnością i planem dobrze ułożonym, nie poniesie żadnej kary za zamordowanie dwóch osób.

Kwestya, w jakim języku mają się odzywać żołnierze na zebraniach kontrolnych wywołani rezerwiści, ciągle jeszcze jest niejasną dla sfer wojskowych. Jak *Narodni Listy* donoszą, komenda wojskowa na prośbę do prokuratoryi państwa w Pradze wdrożyła śledztwo przeciw posłowi sejmowemu Baksie i członkom Rady powiatowej, p. Baksie za to, że w tych dniach na zebraniu kontrolnem w Rican, protestował przeciw zarządzeniu urzędującego oficera, żądającego, aby odzywali się po niemiecku, a owszem zachęcał ich, by, jako Czesi, używali języka czeskiego. W tym czynie władza wojskowa dopatruje się podżegania i namawiania żołnierzy do naruszania wojskowych przepisów służbowych.

Szpieg rosyjski. W Harwich, w portowej twierdzy angielskiej, aresztowano podejrzanego o szpiegostwo Rosyanina, nieznanego nazwiska. Był on elegancko ubrany a liczy około 50 lat wieku. Przez kilka dni kręcił się koło fortecy, a — jak zauważano — rozmawiał z kimś po rosyjsku. Onegdaj wreszcie mężczyzna ów zbliżył się do pełniącego wartę żołnierza i zapytał go gdzie się znajduje prochownia. Żołnierz dał sygnał, na który zbiegła się reszta straży i aresztowała ciekawego. Nie chce on podać ani kim jest, ani jak się nazywa.

Towarzystwo im. Kotlarewskiego zawiązali w tych dniach we Lwowie Rusini. Zadaniem tego stowarzyszenia jest zająć się zwiększeniem funduszu na budowę narodowego teatru ruskiego.

Jutrzejsze posiedzenie Izby posłów będzie prawdopodobnie obfitowało w paszkwile na Polaków. Na posiedzeniu tem bowiem przeprowadzoną być ma dyskusya w sprawie postawienia Kazimierza hr. Badeniego w stan oskarżenia za jego zobowiązania przyjęte wobec dziennika *Reichswehr*, gdy był prezydentem ministrów. Będzie więc znowu skandaliczne posiedzenie.

Na zakończenie sezonu urządza „Towarzystwo cyklistów we Lwowie" w niedzielę dnia 6 b. m. wyścig drogowy 20 klm. o mistrzowstwo Towarzystwa dla swych członków. Start i meta przy rogatce Gródeckiej o godz. 3 po pop.

Kaplica. W Paryżu, przy ulicy Jean-Goujon, w miejscu, gdzie spalił się bazar dobroczynności i zginęło tyle ofiar, wzniesioną będzie kaplica pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. Budowę już rozpoczęto. Na kopule stanie figura Matki Boskiej Bolesnej.

Dotrzymujemy słowa. Uczymy się, uczymy od każdego — nawet od wrogów swoich.

— Nie lubię jeździć do Niemców — mówiła mi pewna Polka niemieckiego pochodzenia — bo, uważając mnie za swoją, wygadują przedemną niestworzone rzeczy na Polaków.

— Cóż takiego wygadują? — spytałem.

— Że Polacy są niechlujni, zarozumiali, pomiatający innymi; że mają muchy w nosie, pierze we włosach i dziury w kieszeni, że nie stawiają się nigdy na słowie i niedotrzymują zobowiązań.

Nie chciałem w oczach tej pani okazać się większym polakożercą, niż Niemcy (zasłużyłbym w takim razie na miano „samojeda"), odpowiedziałem jej tylko nieokreślonym ruchem głowy. W tej chwili jednak, gdy mię ta Polka o niemieckiem nazwisku nie słyszy, wyznam otwarcie, że w wymysłach niemieckich widzę pewien, przypuśćmy, że minimalny procent prawdy. Choćbyśmy bowiem pominęli milczeniem inne zarzuty, to czyż niesłowność i niepunktualność nie są u nas rzeczą tak pospolitą jak w lasach naszych sośnina, a w zbożu naszem kąkol? Każdy z nas ma w pamięci połowę łacińskiego przysłowia: „verba volant" (słowa ulatują) i zgodnie z tem szafuje na prawo i lewo słowami, jako rzeczą bez wartości i która do niczego nie zobowiązuje.

— Panie! — pisze przewodniczący jakiegoś stowarzyszenia czy komitetu — posiedzenie odbędzie się dnia 27 o godzinie 6 wieczorem; proszę o liczny udział. I dnia tegoż o oznaczonej godzinie wszyscy zaproszeni w komplecie są — nieobecni tak, jakby istniała jakaś między nimi umowa!

— Tylko na miłość Boga nie zrób mi pan zawodu! — upomina ktoś rzemieślnika, któremu powierzył ważną robotę. Wiadomo panu, że narażony byłbym przez to na wielkie straty.

Rzemieślnik przyrzeka — i o zakład roboty na termin nie wykończa. Na zasadzie umowy mógłby być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej, nikt go tam jednak nie ciągnie, gdyż u nas podobna surowość „nie jest we zwyczaju". Gdzie wszyscy grzeszą, tam ktoby się wyrwał z nawoływaniem do cnoty i karą na grzeszników, zyskałby sobie tytuł Filipa z Konopi. Mówił pewien przedsiębiorca robót budowlanych, że w ciągu trzydziestoletniej praktyki nie zdarzyło mu się ani razu spotkać rzemieślnika, któryby dostawił robotę w terminie oznaczonym. — Doprowadziłoby mię to do ruiny, — dodał — gdybym nie bronił się pewnym specyalnym systemem, który i innym zalecam. System ten jest bardzo prosty. Polega on na tem, że gdy robota potrzebna na święty Michał, zamawia się ją na święty Jan, a gdy pragnie się ją mieć w tym ostatnim terminie, robi się kontrakt z dostawcą „zaraz po Nowym Roku".

Z kolei wspomnę o powszechnem lekceważeniu korespondencyi. Fenomenem jest u nas człowiek, który prędko i dokładnie odpowiada na listy. A zaniedbuje się ten obowiązek w stosunkach nie tylko prywatnych lecz i handlowych, przemysłowych itp.

Tracą na tem tedy obie strony; traci ogólny bieg interesów, traci wreszcie pośrednio i bezpośrednio i całe bogactwo krajowe. Kto prowadzi nieco rozleglejszą korespondencyę, wie dobrze, iż często prędzej i lepiej załatwia się interes listowy z Paryżem, Londynem a nawet Ameryką niż — w kraju. Chcąc nadać u nas drobniejszej sprawie bieg prawidłowy, trzeba uciekać się koniecznie do bodźców.

Znamienną w tym względzie odpowiedź usłyszałem od pewnego zakładu rzemieślniczego. Gdym w oznaczonym przy umowie terminie posłał po robotę, odpowiedziano mi:

— Nie przypomniał mi pan, myśleliśmy, że nie pilno.

Nie dość na tem, że więc rzecz jakąś zamówić trzeba, ale nadto potrzeba jeszcze stać nad rzemieślnikiem i obowiązek jego mu kilka razy przypominać. Czy to może nie za wiele?

O oszczędności. Dr. Kusztelan miał niedawno w Poznaniu odczyt o oszczędności, w którym, na podstawie urzędowych dat i cyfr wykazał, że narodem stojącym na ostatnim, szarym końcu Europy, pod względem zmysłu oszczędności są Polacy. Fakt to ogromnie smutny i dający tem więcej do myślenia, im bardziej człowiek się zastanowi nad tem, czem jest oszczędność i jak w cywilizacyi danego narodu ważną odgrywa rolę. Przypomnijmy sobie, co o tem pisał swojego czasu Józef Supiński w dziele: „Szkoła polska gospodarstwa społecznego": „Do najważniejszych cnót społecznych należy niezaprzeczenie oszczędność. Ludzie spożywać mogą cały swój dochód, mniej niż dochód, lub więcej niż dochód. Gdyby wszyscy mieszkańcy Europy spotrzebowywali byli przez lat tylko 300 dochody swoje w całości, Europa stałaby dziś jeszcze na miejscu, na którem ją zostawiły owe czasy; pierwszorzędne miasta nie miałyby bruku i latarni; szlachta podróżowałaby konno po zaniedbanych dróżynach, lub po błocie smrodliwych ulic, na które wyrzucano śmiecie domowe; panie i królów żony jeździłyby w ordynarnych skrzyniach; jedzonoby bez obrusów i widelców, usta obcieranoby chlebem czarnym, chodzonoby po spaczonej podłodze, ogromnemi przybitej gwoździami; panowie nosiliby grube, ordynarne sukno, a lud miejski Anglii i Francyi chodziłby dotąd w płótniankach grubszych od worków zbożowych".

Kinematograf w usługach chirurgii. Na kongresie chirurgicznym w Paryżu żywe zainteresowanie wzbudziły demonstracye pewnego chirurga, który pierwszy zastosował kinematograf do odtwarzania operacyi chirurgicznych. Przed oczami słuchaczów przesuwały się całe operacye prelegenta. Zastosowanie to ma wielkie znaczenie, szczególniej dla nauczania: trudne cięcia można powtarzać przed oczami studentów wielokrotnie, powiększać obraz, wstrzymywać w dowolnie obranej chwili, co wszystko jest niemożliwe z chorym, który cierpi. I sam operator, obserwując później siebie samego, może i poprawić i doskonalić. Lekarz ów mówi też o pożyteczności zastosowania tego nowego sposobu do obserwowania i rozróżniania różnych drgań twarzy, konwulsyi itp.

Nieistniejące miasto. W Ameryce narobił wiele hałasu nowy tygodnik, p. t. *New Rome Advertiser*, który przez cały rok utrzymywał bezpłatnie przeszło 60.000 osób w Stanach Zjednoczonych. Każdy, kto uważnie czytywał ten tygodnik, dowiadywał się o jednym z największych cudów współczesnej Ameryki a mianowicie o nadzwyczaj szybkim rozwoju nowego miasta, New Rome.

W pierwszym numerze zamieszczoną była mapa tej dopiero założonej osady, której cała ludność składała się zrazu tylko z redaktora, poczmistrza, dwóch właścicieli młynów, jednego nauczyciela i dwudziestu rodzin rzemieślników. Lecz już w dziesiątym numerze czytało się o niezwykle szybkim rozkwicie tego miasta: że już kilka tysięcy rodzin w niem się osiedliło, że wciąż powstają nowe budynki, że gazeta ma już 1.500 prenumeratorów w mieście itp. Według doniesień *New Rome Advertisera* rozchwytywano grunta w tej miejscowości, osadnicy przybywali masami i w ciągu kilku miesięcy ludność miasta dosięgła liczby 40000. A format gazety wciąż się zwiększał, czytało się w niej o drobniejszych zajściach brukowych, przedstawieniach teatralnych itp.

Wszystko to jednak wydało się redaktorowi *New Yorker Heralda* trochę podejrzanem. Zamierzył tedy wysłać do New Rome specyalnego reportera, lecz zaraz na samym wstępie trafił na niezwykłe trudności. Oto w rozkładzie jazdy nie można było znaleźć owej sławnej Nowej Romy, pomimo, że organ jej zapewniał, iż w mieście są już aż trzy dworce kolei żelaznej. Dopiero w spisie dróg pocztowych znaleziono miejscowość tej nazwy na trakcie między Fort Worth a Austin w Teksas.

Udał się tedy reporter nowojorskiego *Heraldu* do Fort Worth i stąd wynająwszy sobie przewodnika wyruszył konno w podróż po preryach celem odszukania miasta liczącego 40.000 mieszkańców. Nakoniec po trzydniowej podróży znalazł na krańcu jakiegoś lasu samotny blokhauz, który, jak się pokazało, mieścił w sobie redakcyę *New Rome Advertisera* i urząd pocztowy miasta New Rome. Również redaktor *New Rome Advertisera* i poczmistrz był jedną i tą samą osobą. Z czterdziestotysięcznego miasta nie było zresztą ani śladu! Pokazało się, że bogaci okoliczni farmerzy, dali poczmistrzowi fundusz na wydawanie owej gazety w celach reklamy. Spodziewali się oni, że zwabią w ten sposób na swoje grunta kupców, którzy może potem sami sobie wybudują takie piękne miasto, o jakiem fantazował zwodniczy nowiniarz.

Znużone metale. Przed 30-tu z górą laty słynny fizyk angielski, lord Kelwin, używający poprzednio skromniej brzmiącego nazwiska Wiliama Thomsona, dowiódł, iż druty metalowe, poddane wstrząśnieniom, jak np. przy stałem przesyłaniu prądu elektrycznego, zachowują się inaczej po długotrwałem użyciu, a inaczej po krócej lub dłużej trwającym odpoczynku. Tak np. druty telegraficzne w poniedziałek rano, a więc po niedzielnym odpoczynku, dokładniej przenoszą depesze, niż w ciągu tygodnia. Obecnie amerykański instytut Franklina ogłosił wyniki nowych badań w tym przedmiocie. Badania te wykazują iż częste wstrząśnienia zmniejszają użyteczność metali, które jednak po dłuższym lub krótszym odpoczynku „przychodzą do siebie". W tych warunkach można śmiało mówić o „znużeniu" metali.

Zmarli. W Sanoku Władysław Kłodecki, urzędnik fabryki wagonów. — W Kołomyi Józef Jagodziński, żołnierz z r. 1863, znany i najlepszy polski magik, lat 55. — W Krakowie Józef Bogacki, artysta-malarz i profesor rysunków w szkole realnej, lat 61; Karol Dziembowski, emerytowany urzędnik, lat 82. — W Targowiskach powiatu krośnieńskiego Władysław Dąb Gołaszewski, syn dziedziców Targowisk ś. p. Leona i Zofii z Gorayskich, ożeniony z Maryą hr. Załuską. — We Lwowie Joanna z Weydnerów Praschilowa, wdowa po notaryuszu, lat 58.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 8, w poł. +11 R. Bar. 770. Podnosi się. Pochmurno.

Prawdomowny małżonek.

— Co to jednak znaczy, że twoja żona wcale nie uczęszcza do teatru?

— Rzecz bardzo prosta, mój drogi, ją to strasznie nudzi, że inni na scenie ciągle mówią i mówią, a ona musi milczeć.

Nie szkodzi.

— Przez Boga, Alfredzie! Miecio połknął twoją szczoteczkę do zębów.

— Nic nie szkodzi! I tak miałem kupić nową.

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś po raz pierwszy „Gejsza czyli historya japońskiej herbaciarni", operetka w 3 aktach z prologiem, libretto Oven Halla, muzyka Sidneya Jonesa. W piątek po raz drugi „Gejsza". W sobotę po południu „Chory z urojenia", wieczorem „Gejsza". W niedzielę po południu „Sztygar", operetka w 3 aktach Zellera, wieczorem „Pod białym koniem", komedya w 3 aktach O. Blumenthala i G. Kadelburga, oraz „Zamek na Czorsztynie czyli Bojomir i Wanda", opera komiczna w 2 aktach Karola Kurpińskiego.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Wczoraj wznowione na lwowskiej scenie niegraną od lat mniej więcej trzydziestu operę komiczną Karola Kurpińskiego „Bojomir i Wanda". Po raz pierwszy przedstawiono we Lwowie ten utwór znakomitego polskiego kompozytora w roku 1819. Wdzięczni jesteśmy dyrekcyi teatru lwowskiego za wznowienie tego dzieła, które posiada bądź co bądź, wartość historyczną w dziedzinie polskiej sztuki, jakkolwiek libretto tej opery — chcąc się wyrazić dyplomatycznie — nieco wesołe, niekoniecznie kwalifikuje się do utrzymania nas w poważnym nastroju, odpowiednim do dnia zadusznego. Opera Kurpińskiego, pisana przed stu laty, świadczy wymownie, jak wysoko stosunkowo stała już wówczas muzyka w Polsce, zwłaszcza, jeżeli ją porównamy z ówczesnemi dziełami innych narodów słowiańskich. Nie ulega wątpliwości, że niektóre ustępy z „Bojomira i Wandy" dziś dla swej formy nieco przestarzałej nie są w stanie wywołać efektu, jakiego wymagamy obecnie od kompozycyi operowej, z tem wszystkiem jednak zachwyca nas w dziele Kurpińskiego melodyjność, umiejętne opracowanie i pewna bezpretensyonalność autora, który podaje nam w formie o ile możności najprostszej i najnaturalniejszej swoje pomysły, a nie omieszka przytem korzystać ze skarbów wiedzy zdobytych przed nim na polu harmonii i instrumentacyi. Niektóre ustępy przypominają nam żywo kierunek kompozytorski, obrany przez Mozarta, zwłaszcza uwertura stylem swym podobna nadzwyczaj do uwertury Mozartowskiej „Wesele Figara" stanowi mimo swych oryginalnych tematów jeżeli nie kopię któregokolwiek autora, to naśladownictwo najlepszych dzieł z końca 18 wieku. Chcąc obliczyć wrażenie, jakie zdoła wywołać opera Kurpińskiego u dzisiejszej publiczności, musielibyśmy przedewszystkiem usłyszeć ją w wykonaniu, któreby pod względem artystycznym nie pozostawiało nic do życzenia.

Opera ta poszła wczoraj wprawdzie dość gładko i dobrze była wystudyowaną, lecz niepodobna nam zgodzić się w całości na jej obsadę. I tak rycerza Bojomira, roli bohaterskiej nie mógł odtworzyć p. Malawski, gdyż wadliwa dykcya nie tylko w prozie lecz nawet w cantilenie stawia mu ustawiczne przeszkody, a p. Myszkowski traktował swą postać zanadto operetkowo jak na górala Nikitę, gdyż komizm tej roli polega na jej charakterze i na sytuacyach i sam się wytwarza, nie wymagając od śpiewaka buffo tak silnej i przesadnej gry. Na zupełne uznanie zasłużyły panie Bohussówna i Kliszewska, a nie mniej kapelmistrz p. Jarecki za koncertowo odegraną uwerturę.

Po operze Kurpińskiego, odegrano „Dziady" dzieło muzyczne Moniuszki do słów Mickiewicza.

Fr. Neuhauser.

* **Faraon**, znakomita powieść Bolesława Prusa została przetłumaczoną na język angielski.

* **Illustrazione Popolare**, tygodnik włoski, wydawany przez księgarnię braci Treves w Medyolanie, drukuje od kilku tygodni na swoich szpaltach przekład powieści Sienkiewicza „Przez stepy", pod tytułem włoskim „A traverso le Steppe". Przekładu dokonywa p. Umberto Norsa, który już wiele nowel naszego pisarza na szpaltach tego czasopisma przyswoił literaturze włoskiej. Dodajemy, że „Illustrazione Popolare", dzięki swej taniości, jest niezmiernie we Włoszech rozpowszechnionym tygodnikiem, drukuje się bowiem w 86 000 egzemplarzy.

Część ekonomiczna.

Ceny zboża. Wiedeń 2 listopada. Pszenica na wiosnę 9·55; żyto na wiosnę 8·20; owies na wiosnę 6·16; kukurudza na maj-czerwiec 4·95. Spirytus 18 do 18·20.

Losowania. Przy wczorajszem ciągnieniu *wiedeńskich losów komunalnych* wyszły serye: 38, 94, 397, 436, 592, 684, 959, 1027, 1083, 1112, 1316, 1384, 1491, 1523, 1779, 2256, 2400, 2518, 2611, 2779, 2919. — 200.000 złr. wygrała serya 1112 nr. 7; 20.000 złr. s. 38 nr. 12; 5000 zł. s. 1523 nr. 10. — Po 1.000 zł wygrały s. 38 nr. 80, s. 959 nr. 48, s. 1384 nr. 43, s. 1523 nr. 97, s. 2256 nr. 7. — Po 250 zł. wygrały s. 436 nr. 27, s. 592 nr. 81, s. 959 nr. 78, s. 1316 nra 9, 10 i 34, s. 1384 nra 29 i 65, s. 1779 nra 10 i 51, s. 1611 nr. 43 i s. 2779 nr. 8. Wszystkie pozostałe numera wylosowanych seryj wygrały po 150 zł.

W ciągnieniu *włoskich losów Czerwonego Krzyża* wygrały: 35.000 lirów s. 7675 nr. 3; 2.000 lirów s. 2563 nr. 49; 1000 lirów s. 2473 nr. 4.

Telegramy Przeglądu.

Wiedeń 3 listopada. *Fremdenblatt* donosi, że austryacka korweta „Frundsberg", która przed paru dniami przybyła do Talienwan, wyśle oddział majtków do Pekinu, dokąd w obec niepewnej sytuacyi w Chinach i reszta mocarstw wysłała oddziały wojsk dla ochrony swych poselstw.

Najwyższa Rada sanitarna wybrała komitet z 6 członków, który ma zastanowić się nad sposobem rychłego usunięcia braków w urządzeniach sanitarnych, które by mogły stać się fatalnymi w czasie grożącej epidemii; zwłaszcza chodzi tu o znane oddawna wadliwości w wiedeńskim szpitalu powszechnym. Poruszono także myśl bezzwłocznego utworzenia prowizorycznej stacyi izolacyjnej w szpitalu powszechnym.

Wiedeń 3 listopada. Sfery polityczne uważają mianowanie księcia Jerzego gubernatorem Krety za rzecz prawie dokonaną. Król grecki dał już swe zezwolenie. Jeżeli sułtan zgodzi się na to, wówczas książę uda się do Stambułu, aby otrzymać z rąk sułtana ferman inwestycyjny, w przeciwnym razie uda się wprost na Kretę, gdzie go admirałowie wprowadzą na urząd gubernatora.

Paryż 3 listopada. *Temps*, omawiając sprawę Faszody pisze, że Francya powinna być na to przygotowaną, iż rząd angielski pewnego pięknego poranku przerwie rokowania i wystosuje do Francyi ostateczne żądanie, na które natychmiast będzie domagał się odpowiedzi. Za zwycięstwo w tej sprawie Anglia ciężkoby odpokutowała, gdyż skutkiem jego byłaby zmiana międzynarodowej konstelacyi na niekorzyść Anglii.

Należy oczekiwać — pisze *Temps* — że z rozkazu rządu Marchand Faszodę wprost opuści i że wówczas ewakuacya Faszody nie będzie mogła stać się przedmiotem rokowań dyplomatycznych.

Brema 3 listopada. W mieście Blumenthal powstała podczas zabawy ludowej bójka między robotnikami niemieckimi a polskimi. Niemcy zaczęli prowokować Polaków, wymyślali im, krzycząc, żeby się wynieśli, że poprzychodzili im odbierać zarobek, że to jest „Polnische Schweinerei" itd. Robotnicy polscy odpowiedzieli okrzykiem: „bij Niemców!" i wszczęła się bijatyka, w której dwaj robotnicy zostali zabici. Głównych uczestników bójki aresztowano.

Jerozolima 3 listopada. Cesarz Wilhelm, przejeżdżając przez kolonię templaryuszów, gdzie mu zgotowano owacyjne przyjęcie, podziękował za powitanie i wyraził nadzieję, iż dalsze trwanie przyjacielskich stosunków między Niemcami a Turcyą ułatwi kolonistom niemieckim ich zadanie. „Kto — rzekł cesarz dalej — potrzebuje opieki, może bez względu na to, jakiego jest wyznania, zwrócić się do mnie, gdyż Niemcy znajdują się w tem szczęśliwem położeniu, iż są w stanie swym poddanym za granicą udzielić jak najskuteczniejszej opieki."

Para cesarska zwiedziła w poniedziałek po południu grób króla Dawida, we wtorek konno górę Oliwną, Getsemane, Betanię i syryjski dom sierot. Upał wczoraj był nieco mniejszy. Cesarstwo w Jerozolimie pozostaną do jutra. Grób króla Dawida, gdzie dotychczas nie postała nigdy noga nie-Turka, pokazano parze cesarskiej na specyalne polecenie sułtana. Ta grzeczność sułtana wywołała w całej Jerozolimie wielkie wrażenie.

Londyn 3 listopada. Do *Times* donoszą z Jerozolimy o katastrofie kolejowej, której uległ pociąg, wiozący majtków niemieckich z Jaffy do Jerozolimy. 4 majtków zabitych. Przyczyna wypadku niewiadoma.

Paryż 3 listopada. Judet, wydawca dziennika *Petit Journal*, przeciw któremu Zola wniósł skargę, jak wiadomo, następnie przez sąd odrzuconą, postanowił wytoczyć Zoli proces o wniesienie skargi oszczerczej, a czterem pismom paryskim o oszczerstwo.

Rzym 3 listopada. Przyszło do starcia między sułtanem, rezydującym w Rahejta nad morzem Czerwonem, a wojskiem włoskiem; kilku Afrykanów padło w tej potyczce. Sądzą tu, że ruchawka sułtana Rahejty, wywołana została przez Rosyan i Francuzów; Rosya chciała bowiem przy tej sposobności zająć Rahejtę i tym sposobem uzyskać dawno upragniony punkt oparcia nad morzem Czerwonem. Po klęsce sułtan uciekł.

Anglicy gorliwie popierają rokosz Mangaszy przeciw negusowi abissyńskiemu, gdyż chcą przeszkodzić temu, ażeby Menelik w sprawie Faszody stanął ze znacznem wojskiem po stronie Francyi. Pomimo tego zapewniają tu, że 5000 Abissyńczyków masseruje ku Górnemu Nilowi w celu wzmocnienia ekspedycyi Marchanda. Rząd włoski w tej sprawie zachowuje się biernie i zaprzecza pogłosce, jakoby włoski kapitan Ciccodicola miał się przyłączyć jako pośrednik do wojska, które Menelik wysyła przeciw rokoszanom.

Londyn 3 listopada. Do Biura Reutera donoszą z Jerozolimy, że cesarz Wilhelm skróci swą podróż z powodu zawikłań powstałych między mocarstwami europejskiemi. Inni przyczynę zaniechania wielu z zamierzonych wycieczek upatrują w niezmiernych upałach, jakie teraz panują w Palestynie. Dotychczas wskutek gorąca zginęło już 25 koni kawalerzyckich i 12 koni należących do biura podróży Cooka. Cesarz w Jaffie wsiądzie na pokład i odwiedzi tylko Damaszek, zaniecha zaś podróży do Jerycho, Jordanu i morza Martwego. Termin powrotu cesarza ma być ustanowiony na 16 b. m.

Wiadomość powyższa, że powodem rychłego powrotu cesarza niemieckiego są zatargi europejskie, powiększyła jeszcze niepokój, jaki tajemnicze zbrojenia wojenne rządu angielskiego powszechnie tu wywołują. Świeżo donoszą, że 6 statków do rozbijania łodzi torpedowych otrzymało polecenie połączenia się z eskadrą kanału La Manche.

Kolonia 3 listopada. *Köln. Zeitung* donosi, że sytuacya, wytworzona przez spór o Faszodę, jest bardzo poważną. Ambasador francuski w Londynie Courcel zawiadomił swój rząd o ostrzejszem zachowaniu się margrabiego Salisbury względem niego od czasu ukazania się Księgi żółtej. Lada wypadek może doprowadzić do wybuchu.

Londyn 3 listopada. Z Wej-haj-wej donoszą, że w tamtejszej przystani stoi teraz 7 angielskich okrętów wojennych w pogotowiu bojowem, a dwa inne okręty pancerne biorą kompletny ładunek węgla w Czifu.

Pekin 3 listopada. Rząd chiński, mimo obietnicy danej obcym poselstwom, jeszcze nie usunął wojsk chińskich z Pekinu. Poseł niemiecki br. Heyking zaproponował innym posłom na wypadek, gdyby Chiny nadal nie wykonały tego przyrzeczenia, wspólną okupacyę kolei żelaznej z Szanhajkwan do Pekinu, ażeby mocarstwa miały w swym ręku połączenie stolicy z morzem.

Rokosz w prowincyi Szeczwan już zakończony; przyszło do porozumienia między wodzem powstańców, a dowódzcą wojsk cesarskich.

Lwów 3 listopada. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 209.00 do 211.00. Kolej Lwowsko-Czern-Jaska po 200 zł. w. a. 290.00 do 293·00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 375.— do 385.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 205.— do 212.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 260 — do 265.—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 208.50 do 211.00.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat z 10 proc. prem. 110.00 do 110.70 4 i pół proc los. w 50 lat 100.00 do 100.70, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97.20 Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.90 do 101.60. Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.30 do 98.00, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.30 do 98.00, 4 proc. los. w 56 lat 95·— do 95·70

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.00—97.70, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.60 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.30 do —.—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·50 do —.—. Pożyczki kraj. 6 proc. 104.00 do —.— 4 proc. z 1893 r. 97·20 do —.—, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 94.80 do 95·50

Monety. Dukat cesarski 5.62 do 5.72. Napoleondor 9.49 do 9.59. Półimperyał 9.47 do 9.57. Rubel rosyjski papierowy 127.30 do 128.30. 100 marek niemieckich 58.70 do 59·10.

10)

REGINA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

JULIUSZA LERMINA.

(Ciąg dalszy).

— Gotów jestem dać się zabić za Jego Królewską Mość, ale nie za człowieka, którego nienawidzę.

— I któż ci każe dawać głowę za p. de Buonaparte? Służyć będziesz waćpan p. de Bourmont, który jest najwierniejszym żołnierzem i sługą króla.

— To też uprzedzam panią markizę — wtrącił baron de Malarvie, odzywając się po raz pierwszy — aby w razie stanowczej odmowy wicehrabiego de Lorys, raczyła wpisać moje nazwisko na nominacyi.

Trémoville i Lorys zamienili ze sobą spojrzenie.

— Powiedziałeś waćpan: w razie odmowy p. de Lorys — wtrącił de Trémoville.

— A ja przyjmuję — dodał Lorys, kłaniając się przed panią de Luciennes.

Baron Hektor de Malarvie odwrócił się i dwaj rywale stali przez chwilę naprzeciw siebie, mierząc się wyzywającem spojrzeniem.

Hektor cofnął się wreszcie i rzekł do pani de Luciennes z ukłonem:

— W takim razie, mam nadzieję, że pani markiza raczy mi nastręczyć inną sposobność wykazania jej mojego oddania dla sprawy.

Oficerowie otoczyli Jerzego, winszując mu gorąco decyzyi i przyznając, że nie rozumieli jego poprzednich wahań. Wszak to, że oni służyli w tym samym pułku było rękojmią, że nie będzie zmuszony do niczego, coby mogło zaszkodzić wspólnej sprawie.

On słuchał, nie słysząc prawie.

— A jednak — rzekł — nie ma chyba dwóch sposobów służenia jednej sprawie.

— Przeciwnie — szepnął mu na ucho jakiś głos ironiczny. — Weź pan naprzykład takich Saksończyków pod Lipskiem.

Lorys drgnął. Ta nagła wzmianka o strasznej zdradzie na polu bitwy przejęła go zgrozą. Chciał podejść do kawalera Blache — poznał bowiem głos jego — i zapytać go o wyjaśnienie tych słów, lecz w chwili tej ujrzał, że Hektor zbliża się do markizy, która go przyjmowała uśmiechem. Wrócił więc do grupy, otaczającej panią de Luciennes. Mówiono o jutrzejszej ceremonii Pola Majowego. Niektórzy utrzymywali, że Napoleon zostanie przyjęty sykaniem.

— Nie zapominaj — rzekł Trémoville do Lorysa, że jutro wstępujemy na Kalwaryę.

— Nie omieszkam się stawić i wątpię, czy będę się mógł powstrzymać od okrzyku: „Niech żyje król!“

Markiza pogroziła mu paluszkiem i rzekła:

— Będziesz pan posłuszny komendzie... która nakazuje milczenie zupełne.

Dała hasło rozejścia się, jak monarchini przyjmująca swoich poddanych. P. de Malarvie prosił, aby synowi jego wolno było złożyć raz jeszcze hołd pani de Luciennes. Spojrzała na Lorysa i wymówiła się rychłym odjazdem. A więc nie żywiła do krewkiego młodzieńca urazy.

Wyjdź pan z innymi — szepnęła mu przy pożegnaniu — ale wróć tu za kwadrans.

VI.

Cóż zaszło pomiędzy panią de Luciennes a kapitanem Laverdière?

Ten ostatni musiał czekać długo na audyencyę — było to podczas rozmowy Reginy z Lorysem w oratoryum. Korzystając z czasu, przezacny kapitan drzemkę uciął — krzepił się w ten sposób po trudach dnia, pełnego wydarzeń.

Był widocznie bardzo zmęczony, bo zapomniał o elementarnych prawidłach francuskiej grzeczności i wyciągnął się na kanapie.

Usnął zaraz mocno i nie słyszał, jak drzwi się otworzyły. Regina stanęła z lampką w ręku i przyglądała się chwilę uśpionemu. Instynktem odgadła, że człowiek ten jest dobrze urodzonym i żal jej się go zrobiło, że tak nizko upadł.

Nagle ocknął się, otworzył oczy i przypominając sobie odrazu, gdzie jest, zerwał się na równe nogi.

— Daruje mi pani markiza — mówił zmieszany — ale gorąco... zmęczenie...

Przerwała mu dumnym ruchem.

— Przeprosiny zbyteczne — rzekła. — Proszę odpowiadać tylko na moje pytania: Ci ludzie, za których waćpan ręczyłeś...

— Są na usługi pani markizy, tak jak i ich dowódzca.

— Co to za jedni?

Kapitan uśmiechnął się szyderczo.

— Bardzo uczciwi — rzekł — gotowi do wszelkiej roboty, byle popłatnej.

— I do zdrady zapewne, na korzyść tego, który da więcej.

Laverdière namyślał się i zastanawiał chwilkę, wreszcie w najlepszej wierze, odparł:

— I to się zdarzyć może.

— Czy są odważni?

— Nie przeraża ich nawet szubienica.

— Jakich przekonań politycznych?

— Koloru wina i dobrej strawy.

— Wielu ich jest?

— Sześciu — ani jednego mniej, ani jednego więcej. Nie wiem jeszcze, jaką misyę pani markiza mi poruczy, ale na mocy mojego doświadczenia, pozwolę sobie ją upewnić, że szczupła garstka w wielu razach bywa rękojmią sukcesu.

— Wierzę... lecz pragnęłabym co do jednego jeszcze punktu się upewnić. Spojrzała mu w oczy.

— Przykroby mi było — rzekła — by ludzie, walczący o dobrą sprawę, narażający się na duże niebezpieczeństwa, wśród innemi, na dostanie się w ręce naszych przeciwników politycznych, aby tacy ludzie, powiadam, mieli na przeszłości swej skazy, któreby obrzygały sztandar, pod którym służyć będą.

— Pani markiza nie przypuszcza chyba, abym do roboty tak drażliwej, najeżonej tysiącem trudów i niebezpieczeństw, a nie przynoszącej w żadnym razie zaszczytu, abym do takiej roboty wybierał ludzi cnót wzniosłych.

Powiedział to ostro, cynicznie.

— O tych ludzi, zresztą mniejsza, ale ich dowódca...

— Czyżby pani markiza raczyła uważać tego dowódcę nie za narzędzie, które się kupuje, lecz za człowieka, którego się przypuszcza do wspólnej roboty. O! w takim razie ów dowódca, gotów jest wyspowiadać się przed panią z całego życia i zrobić ją sędzią całej swej niegodziwości.

Markiza, zdziwiona uroczystym tonem tych słów, przez chwilę milczała.

— Czekam na rozkazy pani — rzekł.

— Naprzód waćpan swoje warunki postaw.

— A zatem: po pięćdziesiąt luidorów na głowę, za dwutygodniową służbę.

— Dam sto.

— Przyjmę.

— A waćpan — ile żądasz?

— Nic, jeśli pani pozwoli.

Już po raz wtóry próbował się postawić na stopie równości z markizą.

— Nie, dziękuję — odparła — toby mnie kosztowało za drogo. Ile na pieniądze?

— Dwa razy tyle, co otrzymają moi ludzie.

— Dobrze: sześćset luidorów dla pańskich zbirów, tysiąc dwieście dla waćpana.

— Przepraszam. Pani markiza nie zrozumiała mnie. Prosiłem tylko o podwójny żołd jednego człowieka, to jest o dwieście luidorów.

— Oszczędź mi pan tych dyskusyj. Będzie tak, jak powiedziałam.

— To prawdziwie po królewsku, ale... pani markiza nie posądzi mnie o tchórzostwo, to mimowoli nasuwa mi się myśl, jak ważnem i niebezpiecznem musi być posłannictwo, za które płacą tak drogo.

— Nagroda mierzy się według oddanej przysługi... jeśli posłannictwo się uda, możesz waćpan żądać odemnie, co tylko zechcesz.

— Nie wątpię, że nam się uda i że będę mógł przypomnieć pani markizie tę obietnicę... wtedy pozwolę sobie może prosić...

— O co?

— O coś więcej, niż o pieniądze.

— Dobrze... ale w swoim czasie. A teraz jeszcze jedno pytanie. Czy nie wiąże waćpana żaden węzeł interesu, przywiązania, wdzięczności?

— Z kim, proszę pani? — pytał Laverdière, zdziwiony szczerze, że go o podobne węzły mogą posądzać.

— Z przywłaszczycielem, z Napoleonem.

— O! co do tego, pani markiza może być zupełnie spokojną.

I dodał nieopatrznie:

— Cesarz i żandarmi, są mi jednakowo nienawistni.

Wszedł znowu na drogę zwierzeń.

Regina nie chciała ich wywoływać, chociaż ten człowiek ze swemi nagłemi skokami, od godności do cynizmu, zaciekawiał ją coraz bardziej.

— Nienawidzę go tak dalece — dodał po chwili — że gdyby nawet chodziło o zamach..

Kapitan dokończył gestem tak wymownym, iż zrozumiałoby go nawet dziecko.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski.
Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej.
Drukarnia Narodowa Stanisław Maniecki i Spółka. Hotel George'a.